



1876
1876

Z N I C Z.

FALSZYWE DŹWIĘKI.

OBRAZ ŻYCIA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1896.

Zbiory specjalne

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Февраля 1895 года.



104645

K. 164/80/119046

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

~~Z KNEGOZBIORU
Zygmunta Szonłogo~~

~~N. 1~~

Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.

Syrokomla.

Mały salonik w stylu rokoko mieścił w sobie towarzystwo bardzo szczupłe, ale ożywione i zadowolone z siebie. Aromat kawy i cygar napępiał powietrze, a wysoka temperatura, pomimo wiosennej pory, ogniem kominkowym podniesiona, przypominała cichy zakątek cieplarni, mieszkanie roślin egzotycznych, najczęściej potrzebujących starania i zachodów. Na głównym miejscu siedziała żywa egzotyczna roślina, z ogromnymi czarnymi oczami i włosami, z matowo-białą płcią i delikatnymi rysami, przypominającymi starożytne kamee lub miniatury. Nawpół leżąc na szeslongu, zajęta była piciem czarnej kawy i rozmową z trzema otaczającymi ją panami, których poobiednia kawa, cygara i pogawędka w saloniku tym zgromadziły.

*

*

*

Hrabina Irena Jazłowiecka bardzo interesująco wyglądała, na szeslongu siedziała jakby od niechcienia, a jednak wygodnie; pomimo niepewnego światła lamp, przyćmionych abażurami, twarz jej, bardzo biała, wyraźnie odbijała od ciemnej aksamitnej sukni i jeszcze ciemniejszych włosów, w jeden węzeł na środku głowy splątanych. Pani Irena dobrze rozumiała rodzaj swej piękności—wiedziała, że skromny klasyczny ubiór najlepiej uwydatni delikatne, wyrafinowane linie jej rysów. Zdawało się, że ta głowa, bez żadnych pretensjonalnych dodatków, z maleńkimi usteczkami, w serduzko złożonemi, jest własnością jakiejś młodziutkiej zakonnicy, pierwszy raz wyrwanej ze swego zacisza, wielkimi, zdziwionemi oczami rozglądającej się po świecie. Lecz temu wyrazowi twarzy zadawała kłam maleńka nóżka, zuchwale i często wysuwająca się z pod sukni, z wyraźną świadomością jej właścicielki, która wzrok swój często na niej zatrzymywała, jakby lubując się pięknym jej kształtem. Najbliższym sąsiadem pani Ireny był mężczyzna w średnim wieku, według ostatniej mody, bez zarzutu ubrany, ksiązę Jarosław X., jeden z najbliższych sąsiadów Żeromina, rezydencyi Jazłowieckich. Z drugiej strony szeslonga siedział

mąż pani Ireny, hrabia Stefan Jazłowiecki, a obok niego kuzyn ich, Michał Jedliński, również w pobliżu mieszkający.

— Powiedz nam nareszcie — mówił ten ostatni, zwracając się do pani Ireny, — dlaczego księciu i mnie koniecznie z przyborami do konnej jazdy przyjechać kazala? Przypuszczam, że o tak późnej godzinie nie wybierzesz się już na żadną przejażdżkę.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Czyż ci nie wystarczy przyjemność oglądania mojej osoby?

— Przyznaj, że tej przyjemności, nawet nie wzywany, często sobie dostarczam. Ale po dzisiejszym twoim liście, z takim stanowczym rozkazem, spodziewałem się czegoś nadzwyczajnego, gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem—podjęła, śmiejąc się, pani Irena — siedzisz sobie najspokojniej i pijesz kawę, jak zwykle. Takiego samego rozczarowania doznał i ksiązę, a jednak czeka cierpliwie, żebym mu sama tajemnicę wyjawiała. Bierz z niego przykład, zachowuj się tak samo grzecznie i cierpliwie. Sądzę, że ci nie zawadzi ta mała lekcya cierpliwości.

— Przyznaję, że nie grzeszę zbytnią cierpliwością. Ale mnie ciągle intrygują twoje

ukryte plany. Czyżbyś się wybierała na jakąś konną przejażdżkę przy świetle księżyca?

— Znowu pytanie!? Jesteś niepoprawny. Już od dawna straciłam nadzieję, czy ty się dasz kiedy czegokolwiek nauczyć lub obłaskawić; chyba zawsze zostaniesz dzikiem, niepohamowanym stworzeniem.

— Z tego wypada—ozwał się książę,—że ja, ponieważ się o nic nie pytam, będąc tylko zawsze gotowym na każde pani skinienie, jestem już obłaskawionem stworzeniem. Ale to wyłączna zasługa tej oto rączki; ona chyba każdego wytresować potrafi. Radzę panu broń naprzód złożyć—dodał, zwracając się do Michała Jedlińskiego. Pani Ireno—ciągnął dalej,—czy można o jedną rzecz zapytać? Zwykle obłaskawia się tylko zwierzęta, nie ludzi, więc do jakiej klasy zwierząt mnie pani zalicza?

— Hm, trudna odpowiedź. Mam dobre serce, chcę księciu zrobić przyjemność, więc powiem że... do lwów.

— Dziękuję. Jest pani ideałem dobroci.

— O! wiem o tem; nic mi książę nowego nie powiedział; mój mąż jest pewno tego samego zdania. Nieprawdaż, Stefanie?

— Najzupełniej — odrzekł tenże, nie wiedząc, o co chodzi, gdyż był zajęty rysowaniem,

jakiegoś bardzo skomplikowanego monogramu na małym skrawku papieru. — Ale jabym ci radził, żebyś tym panom opowiedziała twoje plany, zanim pójdziemy do pani marszałkowej; tam pewno mowa o nich będzie, to sekret się wyjawia.

— Masz rację. Prawda. O babci zupełnie zapomniałam. A więc, panowie, proszę słuchać. Nad ranem, o czwartej, przyjeżdża kuzynka nasza, panna Marya Krzycka. Przyjeżdża na stałe do nas, gdyż po śmierci swego ojca nie ma nikogo bliższego, ktoby się nią opiekował. Muszę na nią do tej godziny czekać; wypada, żebym ją ja sama przyjęła. Więc, dla skrócenia sobie czasu, uplanowałam, że konno naprzeciwko niej wyjedziemy; żeby nam zaś weselej było, was, moi panowie, do towarzystwa zaprosiłam. Czas nam prędko zejść powinien; nie o wiele wcześniej codzień spać chodzimy. A co? czy zła myśl?

— Pani jesteś zawsze genialną w swoich pomysłach—rzekł książę.—To będzie czarujący spacer... o wschodzie słońca, na spotkanie młodej, nieznannej osoby, o której rozmaite krążą legendy.

— Legendy?—przerwał Jedliński.—Choć jestem jej kuzynem, jednak nic legendowego o niej nie słyszałem.

— Może dlatego jest więcej interesującą, niż każda inna przeciętna panna—odezwał się Jazłowiecki, — że ją wychował ojciec dziwak, który zawsze od ludzi stronił, ekscentryczny, w książkach zagrzebany mizantrop. Wyrosła zdala od świata, jak Robinson na odludnej wyspie. Będzie się pewno czuła między nami jak zabłąkana.

— Ciekawy okaz do obserwacji — rzekł książę, — jakie wydała owoce taka pustelnicza edukacja. Ja słyszałem, że ona, mając zaledwie lat szesnaście, czytała dzieła najpoważniejszych filozofów i myślicieli. Bez wątpienia są w jej umyśle jakieś tego ślady. Tak, tak, ciekawy okaz. Świata prawie że nie widziała, a ojciec mógł jej dać o nim tylko skrzywione pojęcie.

— Albo żadnego—przerwał Jazłowiecki,— bo świat dla niego nie istniał poza jego przywidzeniami i biblioteką. O sztuce i stylach pojęcia nie miał; ręczę, że nie byłby potrafił odróżnić żadnego cennego antyku od tegoczesnej tandety. Nigdy nie miałem wysokiego pojęcia o jego wykształceniu — dodał pogardliwie i powrócił z zajęciem do przerwane go na chwilę rysowania monogramu wśród zręcznie wijących się ornamentów. Obmyślał

rysunek na jakiś ekran przed kominek; zajęcie to pochłaniało prawie całą jego uwagę.

— A jednak był to człowiek wysoko wykształcony, jeden z tych zapaleńców do teoretycznej nauki — rzekł Michał, — którzy rozumują nad każdym zjawiskiem w życiu i przyrodzie. — Po chwili dodał trochę ciszej, nawpół do siebie, jakby prowadził dalej wątek rozpoczętej myśli: — Był zawsze w niezgodzie z sobą samym i światem... Jeśli co uznał za piękne i wzniosłe, to się tem do głębi przejmował, chciał, żeby wszyscy dzielali jego przekonania, byli gotowi czynami popierać swoje teorie i idee. Dlatego uchodził za dziwaka.

— Bo też nim był w istocie — przerwał książę. — Chcieć życie stosować do pięknych teorii, w książkach drukowanych, jest rzeczywiście dziwactwem i trudem, który się nigdy nie oplaca. Życie jest rzeczywistością, a teorie i upatrywanie jakichś dalekich celów życia to idealizowanie tej rzeczywistości, a więc tylko mrzonki. Wiele rzeczy, pięknie brzmiących, jako pojęcie, myśl oderwana, wprowadzone w praktykę stałyby się niemożliwymi, a nawet śmiesznymi; Krzycki zaś tego nigdy zrozumieć nie chciał.

— Więc książę — przerwał Michał Jedliński — wszystkie teorie o celach życia, uznane

za szlachetne i piękne, o tyle tylko uznaje, o ile są pięknie brzmiące? A ktoby rzeczywiście życie ku nim kierował, byłby śmiesznym lub dziwakiem?

— Hm, trochę inaczej się wyraziłem — odrzekł książę niechętnie; — o Krzyckim mówiłem wyłącznie.

— Utarte jest o nim mniemanie — prze-rwała pani Irena, — że to był mizantrop, filozof, tylko naukami zajęty. Ale nieświatne wydała rezultaty ta umysłowa gimnastyka, bo, jak po śmierci obliczono, z dużego niegdyś majątku nic prawie dla córki nie zostało. Choć dla mnie to jest zupełnie obojętnem, czy ona jest bogata albo biedna, bo czy tak, czy tak, spada na mnie obowiązek matkowania, a jeszcze nie wiadomo, co to za gatunek panny; w każdym razie nieobiecujący.

— Czemuż więc państwo podjęli się tego kłopotu? — zapytał książę.

— Babka moja tego sobie życzyła, gdyż jesteśmy najbliższymi jej kuzynami — odrzekła pani Irena, — i chcę też, żeby ze mną w świecie bywała. Ach! nie umiem wyrazić, jak mnie to nudzi i gniewa; opiekować się panną na wydaniu! to okropne!

— Naszym będzie obowiązkiem przyjąć pani z pomocą na tej drodze ciernistej —

powiedział ze śmiechem książę. — Znajdziemy męża dla panny Krzyckiej... i będzie po całym nieszczęściu.

— Trudno to będzie, jeśli jest bardzo straszna; bo ja się już wszystkiego co najgorsze spodziewam. Pewno uczona pedantka, w okularach i z krótkimi włosami! brrr! Czy czasem nie literatka?... Tego się najgorzej obawiam.

W tej chwili wszedł służący i głośno oznajmił:

— Pani marszałkowa prosi.

Ożywiona rozmowa ustała i wszyscy dość niechętnie opuścili miły salonik, odkładając na później pogawędkę i cygara.

Marszałkowa, do której nasi znajomi się udali, była babką panny Ireny; wychowała ją i zastępowała zmarłą przedwcześnie matkę. Wnuczka była jej jedynym przywiązaniem, ale przed okiem ludzkim starannie to uczucie ukrywała, jakby się wstydząc tej słabostki serca. Marszałkowa, żyjąca i obracająca się między tegoczesnymi ludźmi, była jakby za-błąkanem wspomnieniem z początków naszego stulecia. Była dzieckiem tych czasów, kiedy dążenia dawne z poprzednich wieków nowym miejsce robić musiały, kiedy ówczesne umysły

przed rozumem i geniuszem czoła tylko schylały, świętości innych nie znając. Ale jedna ostateczność z drugą graniczyć zwykła. I tak, gdy jedni, zapatrzeni w te niby bożyszcza przyszłości, o wszystkim, co dotychczasowe, zapomnieć chcieli,—inni, przeciwnie, z rozpacziwą prawie zajadłością czepiali się wszystkiego, co dawne, co jakąkolwiek miało cechę przeszłości. Marszałkowa była jedną z takich postaci, jakby z metalu na modłę dawną wykutych, zakamieniałych, niezmiennych, niedostępnych dla wrażeń. A bojąc się, by jakikolwiek wpływ góry nad nią nie wziął, zabezpieczyła się tarczą chłodu i wyniosłości, uważając nawet okazanie przywiązania wnuczce za oznakę słabości charakteru. Panna Irena nie wiedziała nawet, że ją babka kocha serdecznie, że jej piękność i spryt wcześniej się objawiający dumą ją napępiały. Rozwojem piękności natura się zajęła, dla rozwoju intelligencji marszałkowa zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Dała swej wnuczce pierwszorzędnym profesorów, pokazała zabytki cywilizacyi, na które praca pokoleń się składała, wszystkie dostępne dla jej oka cuda natury i sztuki. Pokazywano jej najpotężniejsze twory ducha ludzkiego, które do nieskończoności horyzonty myślenia rozszerzyć mogą, które zachwytem i zapalem tysiące

innych przejmują; pokazywano jej to jako godny uwagi obrazek, mówiąc: „Patrz i zapamiętaj datę wykonania i nazwisko twórcy.“ Nie nauczono jej w pięknych dziełach myśli pięknej szukać, odczuć ją i zrozumieć. Na świat i jego cuda patrzyła z mniejszem lub z większem zajęciem; śladów żadnych w umyśle po nich nie zostawało; gdy oczy w inną odwróciła stronę, zapominała o tem, co widziała przed chwilą, rozglądając się za nowem jakimś widowiskiem i rozrywką. Z czasem bez ciekawego widowiska i rozrywki obejść się już nie mogła. Jakże życie byłoby nudnem bez wrażeń, coraz to innych i nowych! Wrażeniami i rozrywką trzeba jego pustkę wypełnić! Marszałkowa bardzo zadowoloną była z edukacyi, jaką swojej wnuczce dała. Nie szczędziła na nauki i podróże, sama przytem wpajała w nią swoje pojęcia i zasady. Ale nauki babki z chwilą, gdy mówić przestawała, ulatywały, jak nigdy niepowrotne echa, a ślady ich pozostawały w wymuszonym i jakby onieśmielonym ułożeniu panny Ireny, którego się wobec babki nigdy pozbyć nie mogła. Marszałkowa wywiązywała się wzorowo ze swoich obowiązków. Wyszukawszy odpowiednią partyę w osobie hrabiego Stefana Jazłowieckiego, wnuczkę wydała za męża. Pani Irena z zapalem rzuciła

się w objęcia świata, upatrując w nim niewyczerpane źródło coraz to nowych wrażeń i widowisk zajmujących. Marszałkowa mieszkała stale w Żerominie, a pani Irena przyjeżdżała tam zawsze na letnie miesiące, napelniając cichy pałac żeromiński gwarem, życiem i wesołością. Była rzeczywistą panią domu, gdyż marszałkowa, z powodu późnego wieku, nie opuszczała nigdy swoich pokoi. Oprócz damy do towarzystwa, nikt przystępu do niej nie miał, z wyjątkiem oznaczonej godziny po obiedzie. Wtedy to pani Irena, mąż jej i goście, choćby ich najwięcej było, zapraszani do niej byli na chwilę pogawędki.

Dnia tego, jak zwykle, wszyscy się udali do marszałkowej, w oddaloną stronę pałacu. Z początku rozmawiano z ożywieniem, ale w miarę zbliżania się do mieszkania marszałkowej głosy się przyciszały, wybuchy śmiechu były coraz rzadsze, nareszcie pod samymi drzwiami cisza zaległa i skupienie.

Pokój, do którego weszli nasi znajomi, różnił się pod każdym względem od saloniku powyżej opisanego. W fotelu o wysokich poręczach siedziała marszałkowa. Przywitała przybywających lekkim skinieniem głowy i miejsca wskazała. Jedna tylko pani Irena otrzymała rękę do pocałowania. Całe otocze-

nie jakąś pustką i chłodem wiało. Brak zupełny drobnostek i cacek, charakteryzujących tegoczesne urządzenia mieszkań, nużył monotonią, a sztywne meble w stylu pierwszego cesarstwa nie nasnuwały bynajmniej marzeń o rozkosznym „*dolce far niente*.” Gdy marszałkowa za mąż wychodziła, pokój ten tak dla niej urządzony został; odtąd żadne krzesło nawet miejsca swego nie zmieniło. Gdy się zamknęła w czterech pokoju tego ścianach, wiedziała, że w całym Żerominie wiele zmian porobiono, ale niewiele ją to obchodziło—ona i otoczenie jej najbliższe zawsze pozostało niezmiennem, osobny świat tworząc. Zgromadzając codziennie na chwilę wszystkich u siebie, zdawało jej się, że jest osią, wokoło której obraca się całe życie Żeromina.

Nie spostrzegła też nigdy, że wszystko się od niej oddala i oddala, że ona na uboczu zostaje, a przepaść, rozdzielająca dwie różne epoki, coraz więcej się między nią a tamtymi rozszerza. Każdy wychodzący za jej progi zaraz o jej istnieniu zapominał, z przyjemnością powracał do wygodnych salonów pani Ireny, pełnych miękkich dywanów i kanapek, śmiejących się wesołemi barwami, gdzie gorąca, aromatyczna atmosfera do poufnej usposabiała pogawędki.

Rozmowa leniwo się toczyła. Jedna marszałkowa wygodniej siedziała, reszta osób kontentować się musiała twardymi krzesłami, rozstawionymi jedne od drugich w znacznej odległości.

— Bardzo ciekawą rzecz pokażę ci dzisiaj — rzekła do wnuczki, — cenny zabytek naszej rodziny. Przeglądając pamiątki po ś. p. babce mojej, Pocijównie *de domo*, przyjrzałam się bliżej Biblii, która była jej własnością. Pierwszy raz zauważyłam, że tłumaczenie to jest jej właśnie dedykowane. To piękna pamiątka, dowód jej cnót i zasługi. Taki zaszczyt i dowód uznania spotykał dawniej tylko kobiety wyjątkowe. Panno Sybillo, proszę hrabinie Jazłowieckiej podać Biblię, o której mówiłam.

Na te słowa z jednego z ciemnych kątów pokoju podniosła się osoba małego wzrostu, niemłoda, z dwoma pukielkami siwych włosów nad czołem; bez najmniejszego szmeru i szelestu wyszła do sąsiedniego pokoju. Za chwilę powróciła, położyła na stole dużą księgę, w skórę oprawną, ze srebrnymi okuciami i klamrami. Równie cicho w ciemnym kącie zginęła; można było sądzić, że to była jakaś wizyta, nie zaś ludzka istota. Była to panna Sybilla, marszałkowej dama do towarzystwa.

Marszałkowa pani Irenie Biblię podała.

— Daję ci to na własność. Niechaj leży w twoim sypialnym pokoju na klęczniku, koło łóżka.

Pani Irena wstała, wzięła księgę, a skłoniwszy się głęboko, rzekła:

— Dziękuję babci.

Dopełniwszy tej formalności, siedziała nieruchomie, z oczami ku ziemi spuszczone, z księgą na kolanach, i milczała. Małe usteczka jeszcze się wyraźniej w serduszko złożyły. Jakiż piękny model dla malarza religijnych obrazów i idealnych piękności!

Po jakimś czasie marszałkowa znów się do niej zwróciła:

— Jutro nad ranem Marya Krzycka przyjeżdża. Czwarta godzina to dla mnie za wczesna pora. Ty ją przyjmij w moim imieniu; powiedz, niech dom nasz jako swój uważa. Ze względu na tak wczesne wstanie nie zatrzymuję cię dłużej. Idź spać. Dobranoc.

Na te słowa wszyscy marszałkową pożegnali i wyszli z pokoju. Zaraz za drzwiami ksiązę Jarosław się odezwał:

— Uważałem, że pani marszałkowa bardzo się panną Krzycką interesuje. Czyżby tyle sympaty dla... miała?



— O! sympatya nie gra tu żadnej roli. Babunia nie zna Maryi, ale zajęcie się nią uważa za obowiązek rodzinny, a księżę wie, że dla babuni przedewszystkiem istnieje obowiązek: wszystkoby dla niego poświęciła; żadne inne względy nic dla niej nie znaczą.

Wszyscy odzyskali znowu dawną werwę i humor, a przechodzącemu służącemu oddano Biblię z poleceniem odniesienia jej do biblioteki, gdzie nikt nie miał zamiaru naruszać jej spoczynku. Dla odwiedzających Żeromin wizyty u marszałkowej były czarnym punktem ich pobytu; jednak, pomimo to, wielu, a szczególnie mężczyzn, pisało się na to. Pani Irena tak hojną później dawała kompensatę.

Jeszcze parę pokoi przejść trzeba było, żeby powrócić do małego saloniku.

— Kto z nas najprędzej przy moim szeslongu stanie! — zawołała nagle pani Irena i sama, zebrawszy faldy sukni, pędem puściła się, przodując wszystkim biegnącym. Przez grzeczność nikt jej nie wyminął—w kilka sekund znalazła się na szeslongu, głęboko oddychając.

— Rozgrzać się było koniecznie potrzeba—mówiła.—U babuni literackie powietrze. Prawie że zębami z zimna dzwonię... trzeba na to zaradzić... wypijmy koniaku... Za moje zdrowie!

Niedaleko stał stoliczek, zastawiony przyborami do czarnej kawy. Pani Irena wszystkim koniaku naląła.

— Za moje zdrowie! — zawołała — i pomyslnie w nowym zawodzie... opiekunki panny na wydaniu!

Jazłowiecki do rozmowy się nie mieszał. Wziął do ręki grubą książkę: „Podręcznik do badania stylów Grecyi“ i odszedł do drugiego pokoju, by swemu ulubionemu przedmiotowi całkowitą myśl poświęcić. Szukał jakiegoś klasycznego deseni na ekran przed kominek; na nic innego nie zwracał uwagi.

— Michasiu, nasz nadworny trubadurze, jabym chciała usłyszeć trochę muzyki i śpiewu — rzekła pani Irena do Michała Jedlińskiego po wyjściu męża. — Dawnoś nic nie śpiewał, a my się kochamy w twoim głosie.

Jedliński prosić się nie dał. W parę minut później urocze tenorowe tony rozplynęły się w powietrzu, a tak piękne, że rozmarzyć mogły najmniej wrażliwe istoty. Głębokie odczucie delikatnej, rzewnej melodyi harmonizowało z artystycznym oddaniem.

Pani Irena wygodnie na szeslongu się ulokowała; księżę do niej swoje krzesło przybliżył, jakby do dłuższej i poufnej zabierając się pogawędki. Bo też wiedzieli, że im tego *tête-*

à-tête nikt tak prędko nie przerwie... Jazłowieckiego więcej niż wszystko interesowały szczegóły stylowego umeblowania, a Jedliński, muzyką zajęty, śpiewać tak prędko nie przestanie. Tego wieczoru pani Irena już się więcej na zimno nie skarżyła; książkę i ona, zajęci rozmową, toczoną półgłosem, sprawy sobie nie zdawali z szybko ubiegającego czasu. Już nie jeden wieczór w ten sposób spędzili, jednak na nudy nikt się nie poskarżył. Każdy ze zgromadzonych wedle upodobania czas sobie zajmował, dla każdego odmienny urok miała odurzająca atmosfera tego saloniku, każdy znalazł tam oddźwięk swoich estetycznych uczuć, rozmaite przybierających kształty...

*

*

*

Dzień świtać zaczynał, kiedy trzej panowie, z panią Ireną na czele, szerokim gościńcem jechali na spotkanie panny Krzyckiej. Gęsta woalka szczelnie twarz pani Ireny zakrywała. Szanowała ona bardzo pleć swoją, strzegła przed niedyskretnym wiatrem i zbyt natarczywymi pocałunkami słońca, tem bardziej, że białość jej, tak efektowna przy delikatnem oświetleniu wieczornem, za dnia nie olśniewała już urokiem pierwszej młodości i dopatrzeć się było można żółtych plamek,

które zdradzały minioną trzydziestkę. Szary, ponury brzask nie zapowiadał wcale wspaniałego wschodu słońca, olśniewającego bogactwem bar i światła, jak to sobie obiecywała pani Irena.

Jednostajna płachta chmur niebo zakrywała, powietrze było przejmujące, zapowiadał się dzień bez ciepłych wiosennych powiewów i blasków.

— Dzika myśl... o tej porze z domu nas wyciągać! — ozwał się Jedliński, zawsze niepoprawny, niemogący pozbyć się brzydkiej wady krytykowania pomysłów pani Ireny. — Bardzobym był ciekawy wiedzieć, co Marya Krzycka pomyśli, gdy nas zobaczy na środku drogi.

— Możesz wracać do domu — odrzekła pani Irena zagniewanym tonem; — a jeżeli chłodu tak się obawiasz, to... gdy wrócimy do domu, każę ci ugotować kwiatu lipowego na poty.

— Uważam, że masz powołanie na Siostrę Miłosierdzia.

— Ja myślę — przerwał Jazłowiecki, — że na dzisiaj wyrzec się musimy widoku wschodu słońca. Niebo takie zachmurzone; nawet wątpię, czy się dzisiaj rozpozodzi.

Pani Irena niecierpliwie na siodle się poruszała.

— Ach! co za rozczarowanie! — zawołała. — Właśnie wtedy, kiedy ja chcę i mogę wschód słońca oglądać, ono się przede mną za chmury kryje!

— Może się boi współzawodnictwa z oczyma pani — rzekł książę półgłosem, nachylając się ku niej. Miał jeszcze na ustach dalszy ciąg komplementów, ale Michał, rozglądający się od paru chwil po drodze, przerwał mu je oznajmieniem:

— Marya Krzycka jedzie!

Rozmowa ustała, wszyscy do galopu spięli konie i pomknęli ku krańcowi jednostajnego widnokregu, gdzie przed chwilą zamajaczyła sylwetka szybko jadącego powozu. W kilka minut zbliżono się ku sobie, stangret konie wstrzymał, a równocześnie w oknie karety ukazała się młodziutka, drobna twarzyczka, otoczona popielatowymi blond włosami, uderzająca świeżą cerą, która tem silniej odbijała przy ciemnym tle karety i żalobnym woalu. Jasne, szaro-zielonawe oczy zapytywać się zdawały: co znaczy ta przerwa? Jazłowiecki, prezentując siebie i wszystkich obecnych, wyjaśnił sytuację. Pani Irena bardzo serdecznie z kuzynką się przywitała.

— Chcieliśmy ci jazdę od stacyi cokolwiek urozmaicić, dlategośmy naprzeciwno wyjechali — mówiła; a po kilku jeszcze uprzejmych frazesach dodała: — A ja sądzę, że trzeba nam prędko do domu wracać; pewno panie jesteście bardzo zmęczone i głodne.

Panna Krzycka nie jechała sama. Towarzyszyła jej niemłoda osoba, przez marszałkową wysłana, jako opiekunka i towarzyszka podróży.

Usłuchano rady pani Ireny.

Skoro tylko powóz ruszył, wszyscy jednogłośnie uznali, że panna Krzycka była zupełnie inną, niż się spodziewano.

— Taka sobie, skromna panienczka — mówił książę protekcyjnym tonem; — dosyć przystojna, ale nic nadzwyczajnego.

— Takich blondynek tysiące się spotyka, typ mało mówiący — rzekła pani Irena. — Robi wrażenie dobrze wychowanej i nie takiej dzikiej, jak się spodziewałam.

— Przeciętna — Jedliński wtrącił niedbale.

Gdy się przed pałacem zatrzymano, książę Jarosław i Jedliński oznajmili, że od razu konno do domu powrócą. Żegnając się, obiecali solennie Żeromin często odwiedzać — i oddalili się, każdy w swoją stronę.

W kilka sekund później rozległa się prześliczna melodia, potężnym i dźwięcznym śpiewana głosem.

— Kto to tak pięknie śpiewa? — zapytała ze zdziwieniem Marya Krzycka, która się na tarasie jeszcze znajdowała.

— Michał Jedliński — odrzekła pani Irena;—on tylko to umie i lubi.

Tymczasem ciągle w powietrzu prześliczna pieśń brzmiała; znać było, że śpiewak nie szczędzi płuc i zapala, że chciałby nią przestrzeń całą wypełnić. Lecz... słabła powoli... oddalała się, nikła... nareszcie zupełnie przebrzmiała...

— Szkoda, że już nie słyhać — rzekła Marya i z lekkim westchnieniem za panią Ireną do pałacu weszła.

Jedlińsk, własność i siedziba Jedlińskich, od wieków znajdował się w rękach tej rodziny. W Poznańskim położony, był to niegdyś nieduży zameczek obronny. Czasy się zmieniły—pierwotne ciężkie mury staraniem właścicieli przybierały piękniejszą i wygodniejszą szatę, estetycznym względem musiały ustąpić obronne zabezpieczenia i w ostatnich czasach zameczek stał się piękną siedzibą. Jego proste i śmiałe linie wabiły oko artystyczną harmonią kształtów; ale największym urokiem Jedlińska

było od strony ogrodu malowniczo wśród pagórków i zieleni położone jezioro, do którego prowadził obszerny w kondygnacjach taras. Czy sta tafla wody ujęta była w ciemną ramę drzew parku; poważne łabędzie snuły się po jej powierzchni; zameczek się w niej przegłędał. Wszystko tchnęło pewnym spokojem i ciszą, dokąd nie dochodziły odgłosy i wzburzenia zewnętrznego świata. Widok był piękny, ale dość ponury. Zdawało się, że smutek w tem ustroniu stałą siedzibę sobie obrał. Przed kilku jeszcze laty taras, do jeziora wiodący, był ulubionem miejscem nieżyjącej już matki Michała Jedlińskiego. W młodości była śpiewaczką. Ojciec jego, pomimo dość nadszarpanej fortuny i silnego protestu całej rodziny, ożenił się z nią. Odtąd, wyrzekłszy się na życzenie męża artystycznej karyery, życie całe w Jedlińsku spędziła; z przeszłości pozostała jej tylko artystyczna dusza, głęboko piękno odczuwająca. Ludziom i światu śpiewać przestała, słyszały ją tylko wiekowe mury Jedlińska, spokojne nurty jeziora, aleje parku echo jej głosu odbijały. Nie zaznawszy szczęścia w małżeństwie, dnie całe prawie spędzała na tarasie, do jeziora wiodącym; oczy błędziły po malowniczym krajobrazie, a z ust płynęły precudne melodie, zawsze smutne i rzewne,

wierne odbicie wewnętrznego usposobienia. I tak śpiewała i śpiewała, a śpiew ten przynosił zapomnienie zewnętrznego świata, zawiedzionych nadziei, nasuwał marzenia o jakimś lepszym, doskonalszym świecie, gdzieby fałszywe i brutalne tony poziomych zachceń i dążeń nie zakłócały moralnej i artystycznej harmonii. Jednak znalazł się słuchacz, który z zachwytem chwycił wszystkie te dźwięki. Wsunął się w najciaśniejszy kątek tarasu, starszy jej synek, Michaś, godzinami czasem siedząc nieruchomy, z szeroko rozwartymi oczami słuchał śpiewu matki. Zapominał o zabawie, chwycił melodie, które młody umysł przedwcześnie myśleć i marzyć nauczyły. Słuchał i patrzył. Patrzył na uroczę otoczenie, smutne, melancholijne, a podniecona wyobraźnia dziecka fantastycznymi postaciami zaludniała to ciche ustroenie. Jezioro było kryształowym pałacem zaklętej księżniczki, nimfy i syreny igrały z promieniami światła, migającymi na jego powierzchni, wszystkie drzewa i krzewy były bohaterami, tajemniczymi istotami; żywa wyobraźnia dziecka granic nie znała, bujała w czarodziejskich światach, dokąd ją prowadził denerwujący głos matki. Chłopczyk niepewnym głosem powtarzał za nią melodie, najpierw niepewno, potem coraz śmiej, a z wiekiem

głos się krystalizował i potężniał. Chował się za drzewa—i, gdy matka śpiewała, on za nią tę samą pieśń powtarzał; śpiewając, przebiegał z jednego ukrycia w drugie, jakby odbijające się w oddali echo. Artystyczną duszę i głos matki natura dała mu w darze.

Przyszła pora edukacji. Musiał się wyrwać ze swego zaklętego świata, napelnionego dziecinnymi, fantastycznymi marzeniami. Ale z jaką radością na wakacje powracał! Lecz teraz umysł chłopca mniej się zagłębiał w nieuchwytnie fantazyje. Z chłopca wyrósł mężczyzna. Gdy na zawsze do Jedlińska powrócił, matki już nie zastał. Gdy stanął na opustoszałym tarasie, zdawało mu się, że zakątki parku oddają jeszcze echa jej głosu; przypominał sobie dziecinne zapęły i marzenia. Młodzieńcze uniesienia przybrały formę głębokiego, bałwochwalczego przywiązania do tych miejsc, pełnych wspomnień; tutaj żyć i pracować postanowił.

Michał Jedliński miał brata, młodszego od siebie. Usposobienia ich były zupełnie odmienne. Młodszy Jedliński, Karol, przepadał za światem i ruchem, od wczesnych lat służył w wojsku pruskim. Po śmierci rodziców bracia działów majątkowych nie zrobili,

Michał objął zarząd nad dobrami i bratu połowę dochodów jak najregularniej posyłał.

*

*

*

Kilkanaście dni upłynęło, a pomimo obietnicy, danej pani Irenie, Jedliński nie odwiedził Żeromina. Zajęcia gospodarskie zatrzymywały go w domu. Praca to była niemąla Jedlińskiem się zajmować. Dobra ogromne, ale przez ojca Michała odłużone, pańska niegdys fortuna,—lecz brak gotówki utrudniał pozbycie się ciężarów, które połowę dochodów pochłaniały. Żeby interesa do porządku doprowadzić, ziemię zachowując w całości, potrzeba było długich lat pracy i zaparcia się siebie.

Pewnego dnia zupełnie niespodzianie przyjechał Karol Jedliński. Po przywitaniu i odpoczynku obydwaj bracia, korzystając z pogodnego dnia, przechadzali się po parku.

— Szkoda, żeś nie zatelegrafował, że przyjedziesz — rzekł Michał; — byłbym konie na stację wysłał i twój pokój kazał odświeżyć. Mam nadzieję, że tym razem dłużej zabawisz.

— Nie mogę tego naprzód oznaczyć—odpowiedział Karol. Był to dorodny mężczyzna, o bardzo regularnych rysach i żywych oczach. Jeden z tych typów ładnych chłopców, których

fizyognomie nadają się tylko do uśmiechów i wesela.

— Mój drogi — mówił dalej, — przyjechałem, żeby się ostatecznie z tobą o interesach rozmówić. Musimy już nareszcie zrobić działy majątkowe. Chciałbym sprzedać moją połowę, bo takim marnym dochodem z ziemi zadowolnić się nie mogę.

— Z czasem dochody się powiększą: długi spłacam po trochu, gospodarstwo się podnosi; jesteście na bardzo dobrej drodze.

— Ale co mnie po tych obietnicach!—odrzekł żywo Karol. — Ja teraz zaraz pieniędzy potrzebuję, a ty mi wróble na dachu pokazujesz. Zresztą ja, sprzedając ziemię, zyskam na tem tylko. Będę mógł zaraz moje osobiste, kieszonkowe długi zapłacić. Nie chcę, by mnie już dłużej lichwiarze rujnowali. Z procentów przyrastają coraz większe sumy.

Michał zdziwiony patrzył na Karola.

— Czyż masz tak znaczne osobiste długi — zapytał, — żeby aż całą fortunę trzeba na to poświęcać?

— Nie byłyby tak bardzo znaczne. Ale, wyobraź sobie, w przeszłą sobotę przegrałem sto tysięcy marek, a już nie miałem ani grosza przy duszy. To okropność! Jest od czego zwaryować! Za trzy miesiące naznaczyłem

termin wypłaty. Muszę mieć na czas te pieniądze, bo tu honor zaangażowany, a temu chybić nie można. Mógłbym się na to zadłużyć po uszy, ale procentyby mnie zjadły, a doliczywszy inne długi, nicby mi się ze spuścizny po ojcu nie zostało. Nie chcę dopuszczać do tego, wolę od razu interes zakończyć. Jeżeli teraz sprzedam moją połowę Jedlińska i dobrą wezmę cenę, będę mógł od razu wszystkie należności zapłacić; na tem się zawsze coś zyska i jeszcze się coś dla mnie okroi, nawet po otrąceniu dawnych hipotecznych ciężarów.

— A skąd wiesz, że dobrą wezmiesz cenę?—przerwał Michał.

— Niemcy dobrze płacą — odrzekł Karol niedbale. — Komisya kolonizacyjna zarazby nabyła moją ziemię. Oni dają większe ceny, niż ktokolwiek inny.

Michał nic nie odpowiedział, ale przystanął zamyślony; na brata nie patrzył, wzrok jego błądził po trawnikach i alejach, po jeziorze, w którym się dom przeglądał. Miejsca te przypominały mu młodzieńcze marzenia i przysięgi. Przy ostatnich słowach Karola ból jakiś szarpnął go za serce; długo nie odpowiadał.

— Proszę cię — rzekł nagle po chwili — o jedno ustępstwo. Tymczasem nic nie postanawiamy. Zostaw mi czas jakiś do namysłu,

żebym mógł znaleźć jakikolwiek sposób spłacenia cię z połowy Jedlińska. Chciałbym go w całości dla siebie zachować, a czy ja, czy Niemcy kupią, pewno ci to wszystko jedno.

Karol patrzył na brata tak, jakby niedowierzał zdrowym jego zmysłom.

— Co?!!! — zawołał, przystając — a skąd na to pieniędzy wezmiesz? Ja zaraz gotówki potrzebuję. Ale dobrze, niech tak będzie. Tylko pamiętaj, że ja, pomimo najlepszych chęci, nie będę mógł długo czekać. Najdalej po upływie dwóch tygodni będziemy musieli przystąpić do działów i sprzedaży.

— Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi. Ażeby Jedlińsk w całości zachować, gotów jestem na wszystkie poświęcenia.

— Marzysz, jak zwykle. Ja widzę tylko jeden dla ciebie sposób: musisz się bogato ożenić.

Michał ramionami ruszył.

— Z powodu tych interesów dostałem dłuższy urlop — ciągnął Karol. — Ty chcesz teraz zwłoki... dobrze, ale nie mam pojęcia, co z czasem zrobię; nie chciałbym się nudzić, bo to nie zabawne. Trzeba go zabić w jakikolwiek bądź sposób. Czy kto ze świata nie mieszka tu w sąsiedztwie?

— Jeden Żeromin chyba cię zajmie.

— A! Jazłowieccy! Irena! W takim razie o nudach mowy być nie może. Czy aby już do Żeromina przyjechali?

— Już tam są od miesiąca.

— Książę Jarosław podobno także od miesiąca opuścił stolicę. Już mi o tem ten i ów przebąkiwał. Trzeba mieć jego szczęście, żeby posiadać dobra tak blisko Żeromina, do których podobno przed poznaniem Ireny nigdy nie zaglądał.

Mówiąc to, Karol Jedliński uśmiechał się złośliwie.

*

*

*

Na drugi dzień w samo południe powóz Jedlińskich zatrzymał się przed żeromińskim pałacem. Ledwie przybyli do salonu weszli, we drzwiach ukazała się pani Irena w towarzystwie Maryi Krzyckiej. Nastąpiły powitania, Maryę zapoznano z nieznanym kuzynem.

— Bardzo jestem rada, że tak dużo osób z rodziny, nieznanych mi dotąd, poznałam — rzekła młoda panienka swobodnie, podając rękę Karolowi Jedlińskiemu. — Dotąd miałam sposobność znać tylko kilka osób z pomiędzy moich najbliższych.

Karol z zajęciem przypatrywał się Maryi, a widocznie był zadowolony z tego przeglądu,

gdyż się do niej z kokieterią przybliżył i na poczekaniu jakiś komplement sfabrykował.

Rozmowa szła swobodnie i wesoło. Niedługo zjawił się Jazłowiecki, pan domu łatwy i uprzejmy dla wszystkich swoich gości. O pierwszej podano śniadanie. Pani Irena siedziała między dwoma braćmi, vis-à-vis Jazłowieckiego. Michał Jedliński, nachylony ku niej, półgłosem zapytał:

— No cóż nowa kuzyneczka? Czyś się już w niej rozpatrzyła?

— Bardzom ją polubiła. Ma coś zniewalającego w sobie. A jaka zabawna! Tak świata nie zna, a rozumować tak lubi! A byle czem zbyć jej nie można. Przytem nadzwyczaj śmiała i prawdomowna; niema rzeczy, o którejby rozprawać nie lubiła — a zwracając się do Maryi, dodała głośno:— Powinnaś na mojem miejscu siedzieć; jako pannie, możeby ci się to na coś przydało. Mówią, że się w ciągu roku za mąż wyjdzie, jeżeli się przy stole między dwoma braćmi siedzi.

— Czyż to taka pożądana konieczność za mąż wychodzić? — spytała Marya.

— Konieczność... hm, nie zawsze, jak kiedy — odrzekła pani Irena, — ale marzenie i dążenie wszystkich panien.

— A jeżeli która do tego nie dąży i nie marzy, czy, pomimo to, też trzeba, żeby za mąż wychodziła? Mnie przynajmniej podobna myśl nigdy przez głowę nie przeszła.

— Ach, u panien pod względem matrymonialnych postanowień co godzina to nowina. Zawsze, czy wcześniej, czy później, trzeba na tem skończyć, pójść za tym zwyczajem, który sięga jeszcze Adama i Ewy.

— Powtarzano mi to już nieraz. Ręczę, że jest wiele panien, które same nie wiedzą, dlaczego za mąż wyjśćby rade; chyba tylko dlatego, że inne tak robią. Nie pojmuję takiego bezmyślnego naśladownictwa.

— Dzieciaku! dzieciaku! — rzekła ze śmiechem pani Irena — jak się lepiej po świecie rozejrzysz, to poznasz, że cały jego ustrój jest na naśladownictwie oparty. Ludzie się tego zapierają, a tymczasem bez przestanku kopią się wzajemnie, nie tylko w ubiorach, ruchach i manierach, ale nawet w myślach, poglądach, nauce i sztuce. Kto się chce odróżnić od przyjątego za normę szablonu, musi być geniuszem, albo za półgłówka uchodzi. Cóż robić! trzeba iść zawsze za utartym zwyczajem, pomimo, że może czuje się nieraz, że to tylko jest zewnętrzna forma, o której wie każdy, że treści w sobie nie posiada.

— Pod względem znajomości ludzi i świata jestem niekompetentną, ale co do zamążpójścia mam już ustalone pojęcie. Jeżeli wyjdę za mąż, to tylko z wielkiego przywiązania, ale nigdy dlatego, byle wyjść tylko, bo inne panny wychodzą. To byłoby tylko bezmyślnem naśladownictwem.

Pani Irena nachyliła się ku Karolowi Jedlińskiemu i półgłosem mu szepnęła:

— Trudno ją będzie za mąż wydać z takimi egzaltowanymi idejami.

— Eh, panińskie myśli! Jak wiatr zawieje, w inną się stronę odwracają; można je nakierować, gdzie się chce. Ale w wyszukaniu dla niej męża trudność z innej strony się nasuwa — tu Karol się uśmiechnął i jeszcze bliżej do pani Ireny nachylił: — jeżeli z tobą w świecie bywać będzie, to nikt na nią wobec ciebie uwagi nie zwróci.

— Komplimenta prawisz! — przerwała pani Irena — *Ancienne école!*.. to się nie zgadza z twojem rzemiosłem oficera i *mauvais sujet*. Ja lubię tylko ludzi stylowych.

Tymczasem Michał swojej kuzynce uważniej się przyglądał. Uderzyła go swoboda, z jaką wypowiadała myśli swoje o przedmiocie, który wogóle przez panny w towarzystwie naruszonym nie bywa. Czyżby to była jedna

z tych ciągle rezonujących sawantek? Ale nie. Nie rzuciła błyskotliwych, skomplikowanych sofizmatów, wypowiedziała tylko otwarcie swój sposób myślenia, bez przesady i pretenzyonalności, i teraz wesoło i swobodnie o banalnych rzeczach rozmawia. Tak śmiało patrzy jej zielono-szare oczy, jakby chciały powiedzieć, że to, co na ustach, to i w głębi serca, a z całej twarzy bije wyraz głębokiego przeświadczenia o słuszności wypowiedzianego zdania. Wyraz oczów, pełen otwartości, zdawał się mówić: Tak myślę, więc tak mówię. Zawsze każdemu myśli moje powtórzyć jestem gotowa. Nie kryję ich, gdyż złe i przewrotne nie są.

Po śniadaniu, gdy się wszyscy w salonie znaleźli, pani Irena zwróciła się do Karola Jedlińskiego:

— Wiedz o tem, że cię nie puszczę tak prędko z Żeromina. Za to, że tak rzadko w te strony przyjeżdżasz, musisz jakiś czas u nas zabawić.

— O! z największą przyjemnością! Czyż możnaby się oprzeć twojemu zaproszeniu? Jestem zawsze gotów na twoje rozkazy.

Jazłowiecki powtórzył zaproszenie żony — i w parę minut postanowiono, że obydwaj Jedlińscy pozostaną w Żerominie, dopóki nie

przystąpią do regulowania interesów. Michał, dla doglądania gospodarstwa, miał do domu codzień na kilka godzin dojeżdżać.

— Trzeba nam do kompanii i księcia Jarosława zaprosić — rzekła pani Irena. — On umie towarzystwo urozmaicić i rozweselić, a rad będzie zaproszeniu, bo samemu na wsi przebywać to niewesoła sytuacja.

— Nigdy pojąć nie mogę — mówił Karol Jedliński ze złośliwym uśmiechem, nie patrząc na panią Irenę, — dlaczego Jarosław całe lato na wsi przepędza. Nudzi się pewno, bo jest sam jeden zupełnie. Ręczę, że siedzi przed lustrem i z sobą samym rozmawia.

— Ach, to musi być bardzo zabawne z sobą rozmawiać — przerwała pani Irena; — przynajmniej posprzeczać się nie można.

— Ale mu nie zazdroścę tej przyjemności, bo jak spojrzy do lustra i zobaczy takie straszidło... — tu nastąpił ruch rozpaczliwy, który był od słów wymowniejszy.

Pani Irena uśmiechnęła się, ale trochę przymusowo; widocznem było, że nie podzielała gustów swego kuzyna i księżę Jarosław w jej oczach straszidłem nie był. Rozmowę na inny zwróciła przedmiot.

— Michał dziś nie w humorze — zauważyła.

— Mam wiele zawikłanych interesów na głowie — odparł tenże.

— Ach! te interesa, te interesa! — zawołał Karol — prawda, na śmierć o nich zapomniałem. Ale wiesz, Ireno, teraz to jakby wakacje dla nas, bo potem będziemy mieli masę zajęcia. Odetchnąć nie będzie kiedy. Działy majątkowe robimy, ja zaraz będę się musiał zająć sprzedażą mojej połowy.

Karol mówił to niedbale, nie patrząc na Michała, który razem z nim po drugiej stronie pani Ireny po salonie spacerował. Gdyby był na niego spojrzął, byłby w oczach wyrzut wyczytał, czemu z taką pewnością mówi o tej nieszczęsnej sprzedaży. Michał machinalnie szedł koło pani Ireny i Karola, ale do rozmowy się nie mieszał.

Chciał się nastroić do ogólnego tonu wesołości, ale przemódz się nie mógł. Przed oczami skakały mu postacie kolonistów niemieckich, rozszarpujących na strzępy połowę Jedlińska. Michał mógł spokojnie snuć wątek myśli swoich, nikt mu ich nie przerywał. Pani Irena uwagi na niego nie zwracała — Karol był taki zabawny! Takie zabawne opowiadał historyjki! Z nim tylko śmiać się ciągle trzeba!

W jednym z rogów salonu Marya z Jazłowieckim bardzo ożywioną prowadziła rozmowę

Stali przed dwoma kandelabrami z saskiej porcelany i zachwycali się ich pięknnością. Całe mieszkanie było prawdziwym muzeum. Każda drobnostka, każdy spręcik był dziełem sztuki; jeżeli nie kunsztownym terazniejszym wyrobem, to stylowym dawnym zabytkiem. Jazłowiecki zbieranie cennych antyków i zamiłowanie do pięknych sprzętów posuwał aż do manii. Sławną była jego kolekcya miniatur i kamei. Entuzjazmował się tymi swoimi skarbami, wynalazł sobie żonę, posiadającą rysy podobne do jednej z nich. Jednak ta żywa kamea krótko interesowała swojego nabywcę; może dlatego, że żywą była. *Ou revient toujours à ses premiers amours.* Jazłowiecki nie był wyjątkiem. Ledwie miodowe upłynęły miesiące, myśli jego i całe zainteresowanie przeniosły się do jego gabinetu, na szafirowy aksamit, na którym porozwieszane były miniatury rozmaitej wielkości i kamyki z pięknie wyrzeźbionymi klasycznymi rysami. W Maryi znalazł cierpliwą i intelligentną słuchaczkę, więc o stylach i sztuce gwarzyli godzinami całemi. Jakież to zajmujące studyować odcienie każdej epoki, różnice i właściwości stylowe! Dla pięknej harmonii barw i kształtów nigdy dosyć zachwyty i patrzenia!

Ani się spostrzeżono, kiedy wieczór nadzedł i z rozpaczliwą punktualnością marszałkowa wszystkich do siebie zawezwała. Pomimo to, Karol Jedliński był w doskonałym humorze. Zaproszenie pani Ireny spadło mu jakby z nieba. Cały czas żądanej przez Michała zwłoki w interesach wystawiał sobie jako szereg śmiertelnych nudów w głuchym i smutnym Jedlińsku, urozmaiconych gdzieś parogodziną wizytą w Żerominie. Gdy tymczasem z tego Żeromina wyjeżdżać już teraz nie potrzebuje i nudzić się nie będzie! Towarzystwo, wyborna kuchnia, spacerzy piesze i konne, gry sportowe, a nadewszystko dwie młode kobiety, po ludzku wyglądające—gdyż Marya jest wcale nieźle, jak na pannę, cóż dopiero mówić o Irenie! Ona jest jedyna w swoim rodzaju; a teraz mu się podoba więcej, niż kiedykolwiek. Gdy oczy spuści, to Madonna o idealnie delikatnych rysach—zdaje się, że z ołtarza zeszła; ale gdy spojrzy... to w tych wielkich czarnych oczach tyle skacze dyabelków, że pytać się zawsze trzeba: „Któż odgadnie, co na dzień?“ Ten kontrast wyrazu oczów i twarzy to największy urok pani Ireny. Kontrasty często się schodzą. Nie tylko miało to miejsce na twarzy pani Ireny, ale i w gustach Karola Jedlińskiego. Może dlatego teraz

większe na nim czyniła wrażenie, że w ostatnich czasach dość długo był zajęty osobką zupełnie odmiennego typu. Zostawił w stolicy małą „Lischen“—pulchna jak buleczka, włosy krótkie, jasne, nosek zadarty, rysy bardzo od klasycyzmu oddalone, wdzięku wiele, oczy niebieskie, zawsze z jednakowem uwielbieniem w niego zapatrzone. Pod koniec już go to nawet bardzo nudzić zaczynało. Przemyślał, czyby jej nie darować na imieniny swojemu zwierzchnikowi, dla zaskarżenia sobie wątpliwych jego względów. Pragnął czegoś nowego, odmiennego—klasycyzm pani Ireny w zachwyty go wprowadziła. Na wsi, między kuzynami, wiele uchodzi; Jazłowiecki dobrze wychowany, światowy człowiek, nie Otello: najlepszy tego dowód jego pobłażliwość na słabostkę Ireny dla księcia Jarosława, o której już nawet wróble na dachu świergocą. Nawet wizyty u marszałkowej to także dystrakcja w swoim rodzaju—taki zakonserwowany typ rzadko się już spotyka; byleby nie miała brzydkiego zwyczaju zadawania niedyskretnych pytań, jak n. p.: „A czy kawaler regularnie co niedziela i święto na mszy bywa i w piątce pości? Co kawaler porabia sam jeden w domu w wieczory zimowe? Czemu to kawaler nie obrał sobie dotąd towarzyski życia?“

i t. d. Karol mógł być na to wszystko wiele odpowiedzieć, tylko że te odpowiedzi nie byłyby bardzo marszałkowej zbudowały i zadowolniły.

Tego dnia Karol, jako gość nadzwyczaj rzadki, dostał jej rękę do pocałowania.

— Jakiś czas zabawisz u nas? — rzekła — to dobrze. Przy naszym stole zawsze miejsce dla ciebie gotowe.

Dalej, jak zwykle, nastąpiły pytania i lakoniczne odpowiedzi. Marszałkowa po kolei do wszystkich się zwracała, z wyjątkiem jednej Maryi; zdawała się o jej obecności zupełnie zapominać. Dziwnie to wyglądało, tem bardziej, że poprzednich dni bardzo się nią interesowała. Marya się raz szczególnie ożywiła, gdyż zaczęto rozmawiać o jej ojcu. Z żywością zarzuciła marszałkową gradem pytań: Czy znała jej ukochanego ojca? czy i ona, jak inni, za dziwaka go uważała, dlatego, że się od świata usunął, bo nie wierzył w jego szczerłość i uczciwość? Na takie żywe i swobodne wystąpienie marszałkowa skamieniała... taka młoda, a taka zuchwała ta Marya! Ośmieliła się dawać jej zapytania i swobodnym ruchem zbliżyć się do niej!!! Panny nigdy o nic zapytywać nie powinny, tylko, zapytane, skromnie i z szacunkiem odpowiadać. Bez upoważnienia

starszej osoby słowa wymówić i kroku uczynić nie powinny! Marya względem niej dosyć szacunku nie okazała, trzeba ją zatem w należytej utrzymać odległości, dać poznać, że, jako młoda panna, wobec starszych jest niczem, prochem, zależnym wyłącznie od ich woli. Dla tego pytania Maryi pozostały bez odpowiedzi i marszałkowa dała znak, że oddalić się może. Odtąd wcale się do niej nie odzywała.

I tego dnia, tak samo jak poprzednich, Marya siedziała, nic nie mówiąc; marszałkowa starała się zapominać o jej obecności, nie obdarzyła jej nawet spojrzeniem. Marya była oniesmielona i zasmucona. Co znaczy ta zmiana humoru? Czemże zasłużyła, żeby się od niej odwracano, nie mówiąc nawet przyczyny? Czy co złego zrobiła? Ale sumienie jej nic nie wyrzuca. Czemu marszałkowa odwraca się od niej, a nie powie serdecznie i życzliwie, co jej się w niej nie podoba? Otacza ją kilka osób, a jednak czuje się samotną i opuszczoną, jakby zabłąkaną wśród obcego świata. Za gardło ją coś ściska; prawie jest kontenta, że nic mówić nie potrzebuje, bo wyrazyby tam uwięzły.

Nareszcie marszałkową opuszczono; za powrotem do salonu, rozlegały się na nowo wesółła rozmowa i śmiechy, głos Karola Jedlińskiego.

go górował nad innymi. Maryi humor nie powrócił. Śmiechy drugich fałszywym dźwiękiem brzmiały jej w uszach. I znowu tu, pośród wesołości, do której tym razem dostroić się nie może, samą się uczuła, owładnięta jakimś nieokreślonym rozrzewnieniem... Ojciec jej się przypomniał, taki dobry i szlachetny; przypomniała sobie jego słowa: „Jeżeli własne sumienie nic ci nie wyrzuca, nie zważaj na sądy drugich: zwykle są czcze i zważają tylko na pozory.“ I na to wspomnienie łzy jej się do oczów cisnęły; chciała zapanować, ale ukrycie uczucia nie przychodziło jej z łatwością. Po chwili jednak odpędziła smutne myśli. Czemuż się smucić, jeśli sumienie nic złego nie wyrzuca? A może to tylko przywidzenie to niezadowolenie marszałkowej?

Marya żywym ruchem zbliżyła się do rozmawiającej gromadki.

— Ja bez ludzi, i to wesółych—dowodził z zapalem Karol Jedliński,—życia nie pojmuje. Ale za to Michał to zupełnie co innego. On, jak ma czas, to śpiewa, i już mu nic do szczęścia nie brakuje. Praktyczny człowiek! przynajmniej rozrywki drogo go nie kosztują.

— Zaśpiewaj co nam, proszę cię bardzo—rzekła Marya, zbliżając się do Michała.

— Z największą przyjemnością, ale wybierz sama to, co mam śpiewać.

I zaczęli przerzucać nuty przy fortepianie.

— Nie — rzekła Marya, — boję się wybrać coś niegodnego twego głosu. Niech los rozstrzyga.—Z temi słowy zamknęła oczy i na chybił trafił wybrała nuty, które jej pod rękę podpadły. Ruch był od niechcenia, naturalny; twarz z zamkniętymi oczami interesująco wyglądała. Michał z zajęciem patrzył na nią. Jaka szkoda, że pozycya ta dłużej się nie przeciągnęła! Przyznawał jej w myśli wiele wdzięku, tego, który pociąga ku sobie nie regularnością rysów i kształtów, ale jakimś nieokreślonym urokiem młodości, który balsamiczne wiosenne podmuchy na myśl przywodzi.

Michał zaczął śpiewać. Była to jakaś włoska piosnka o rytmie skocznym, jakby do tańca, a melodyi rzewnej, pełnej prostoty i uczucia. Marya słuchała nieruchomie i z zachwytem. Jakież to cudne śpiewanie! Nie przypuszczała, żeby ktoś na świecie mógł tak pięknie śpiewać. Ani się spostrzegła, jak smutne myśli o osamotnieniu wśród ludzi znów się tłoczyły zaczęły, tylko że nie tak gorzkie jak przedtem, bo słuchając tego śpiewu, cieplej jakoś i milej, choć smutno, bardzo smutno, bo i w tym głosie coś smutnego się

odbija, jakby jakaś skarga na bole i zawody.

— Prześlicznie! prześlicznie! — zawołała Marya, gdy Michał skończył.—Gdy śpiewasz, płakać się chce.

Michał nic nie odpowiedział, ale serdecznie na Maryę spojrział. Jakże jej był wdzięcznym, że odczuła w śpiewie jego wewnętrzne smutne uspokojenie.

Znowu śpiewać zaczął, ale jeszcze piękniej niż przedtem — miał słuchaczkę, która w jego śpiewie myśli się jego dosłuchiwała.

Przez resztę wieczoru Michał był zajęty tylko Maryą i śpiewaniem. Oboje nie spostrzegli się nawet, że czas upływał—i byłiby tak może do rana gawędzili, gdyby im pani Irena hasłem do spoczynku rozmowy nie przerwała.

Następowały wieczory za wieczorami, a Michał tylko z Maryą rozmawiał i dla niej tylko śpiewał. Tematy do rozmowy nigdy się nie wyczerpywały—zawsze wiele, coraz więcej do powiedzenia się znajdowało, a godzina takiej pogawędki za lata znajomości starczy.

*

*

*

— Czyś jeszcze nie odkrył zaczarowanych skarbów na kupienie ode mnie połowy Jedlińska? — mówił dnia jednego drwiąco Karol do Michała po tygodniowym pobycie w Żerominie.

— Nie drwij przedwcześnie — odrzekł Michał lakonicznie.

Wejście księcia Jarosława przerwało ich rozmowę. Doskonale on się nadawał do wesolej gromadki, której słońcem była pani Irena. Śmiechy, flirt, weselość—wypełniały bezprzestannie eleganckie salony żeromińskie. Karol Jedliński postanowił śledzić i obserwować najmniejsze oznaki, któreby zdradzić mogły serdeczniejsze stosunki między księciem Jarosławem i panią Ireną. Ale, jak na złość, dnie mijały, a on, oprócz zwyczajnego salonowego flirtu, nic dotąd nie zauważył.

— Trafiła kosa na kamień — myślał sobie. — Irena boi się mnie, więc się wystrzega. Nie takim naiwny, żebym temu uwierzył.

Michał nie przestawał być małowięcym, zdradzał rozgorączkowanie i zajęcie jakąś stałą, niepokojącą go myślą. Czem splącał Karola? A pytanie to ciągle bez odpowiedzi zostawało. Z początku po dwa razy dziennie do Jedlińska dojeżdżał, jakiś niepokój go gnał, ale potem znowu, długo się tam nawet nie

zatrzymawszy, powracał do Żeromina. Śpieszył się do swobodnej i otwartej pogawędki z Maryą. Zwykle do późnego wieczora gwarzyli, sami—nikt im nie przerywał; dla niej śpiewał, tylko jej obecność zacierała w jego myśli wspomnienie przykrego materialnego położenia. Pani Irena dobrze widziała wzrastającą między nimi sympatyę, jednak nie starała się żadnej tamy temu położyć; przeciwnie, rada była tej życiowej komedyjce i bardzo ją to bawiło. Niech się młodzi kochają, jeśli ochotę mają ku temu. Para zakochanych to bardzo zabawne widowisko—przynajmniej nieraz uśmieć się z nich będzie można.

Wieczory, spędzane w saloniku rokoko, przy świetle lamp, przyćmionych kolorowymi abażurami, wśród miękkich dywanów, kanapek, atmosfery, napełnionej zapachem cygar i mieszanych pachnideł, które zdradzały obecność pani Ireny—pociągały właściwym sobie urokiem, a obecni do pogawędki zawsze jednako się grupowali.

Jednego dnia, jak zwykle, pani Irena siedziała na szeslongu, pomiędzy księciem Jarosławem i Karolem Jedlińskim, śmiała się, dowcipkowała, jedną ręką rzucając na nich cukierkami, w drugiej trzymała grube cygaro i palić się uczyła.

— Daj pokój, rzuć to—mówił Karol;—jak się nie jest przyzwyczajonym, od razu całego cygara wypalić nie można. Za skutki nie ręczę.

— Mniejsza o skutki... muszę je całe wypalić, bo zakład z księciem wygrać chcę koniecznie—odrzekła pani Irena, popiół otrząsając.—Zbyt jestem łakoma, i nie wyrzeknę się tak łatwo cukierków od Boissier'a. A niech książkę pamięta, żeby bonbonierka była ładna i gustowna, bo na cukierki w kartonowych pudełkach patrzeć nie mogę. Po prostu brzydzę się nimi.

Jazłowiecki do rozmowy się nie mieszał. Siedział blisko lampy, przez szkło powiększające przyglądał się angielskim sztychom, które nabył niedawno. Uwagi na niego nie zwracano, i on też na drugich nie uważał—figurował z konieczności, jako nieuniknione dopełnienie tego salonu.

Marya z Michałem, spacerując, półgłosem rozmawiali.

— Jakiś ty niedobry, Michasiu! Czemu śpiewać nie chcesz? Tak cię ładnie proszę... już wyczerpałam cały repertuar miłych słówek, a ciebie wzruszyć nie mogę. Czy to wszystko jeszcze za mało?

— Widocznie — odrzekł ze śmiechem, a w serdecznie patrzących na nią oczach wahanie już znać było. — Czy chcesz wiedzieć powód? Widok Ireny z cygarem w ustach, grubszym niż jej palec, jest dla mnie wstrętnym i denerwującym. Patrząc na nią, prawdziwie ładnie nic zaśpiewać nie potrafię. Czyż można ładnie śpiewać, mając taki brzydki widok przed oczyma?!

— Ach! zbyt jesteś egzaltowany! — odrzekła — tylko taka artystyczna dusza, jak twoja, pojęcie piękna i harmonii tak wyrafinować i odczuć potrafi. Choć, zdaje mi się, że cię rozumiem.

— O! ja wiem, że mnie rozumiesz; dlatego tobie tylko myśl moją wypowiadam. Bo zastanów się tylko, czy to się zgadza jedno z drugim: Irena z grubym cygarem w ustach, krztusząca się dymem, puszczająca jego kłęby w oczy swoim wielbicielom i bombardująca ich cukierkami; a jakież z nią kontrast piękna melodya, wysnuta w chwili jakiejś artystycznej ekstazy twórcy! By ją oddać tak pięknie i melodyjnie, jak ją twórca pomyślał, trzeba się przejąć jego ekstazą dla piękna i harmonii. Widok Ireny, udającej bohaterki z *café-chantant*, tylko trywialne myśli nasuwać może, więc mimowoli i śpiew trywialnym się stanie.

Sposób oddania każdej melodyi jest odbiciem naszego wewnętrznego usposobienia.

Długo jeszcze Michał mówił o zastosowaniu estetyki do życia codziennego. W miarę, jak mówił, zapalał się, wysnuwając coraz to nowe myśli o piękności sztuki i natury, o tej harmonii barw, światła i kształtów, którą w wszechświecie Bóg zaprowadził, by ludzie, czerpiąc z niej wzory, wznosili się ku najwyższej harmonii dobra z pięknem, treści z formą, tak materialnie jak i umysłowo. Czemuż więc oni, przez swoją głupotę, szarpią tylko fałszywe struny trywialności? I stosunki ludzkie i światowe tak ułożyli, że bez tej trywialnej, realno-poziomej strony żyć już nie można! Czemu istnieją te materialne i praktyczne względy, według których życie układać trzeba, które duszę, rwącą się ku nieskończonemu pięknu, do błota ziemskiego przykuwają? Artysta wziął górę nad człowiekiem. Michał już nie patrzył na nikogo, zdawał się nawet o obecności Maryi zapominać; pokazywał jej tylko cały ten świat czarodziejski swoich marzeń i porywów, całą biedę swojej artystycznej duszy, przesładowanej troskami życia codziennego.

Maryja oczów z niego nie spuszczała. Biedny artysta, któremu stosunki materialne artystą być nie pozwalają!

— Żal mi cię — rzekła, gdy Michał na chwilę mówić przestał, — nieszczęśliwym będziesz, bo czego innego, niż drudzy, żądasz od świata. Chyba, że się znajdzie jakaś kochająca ręka, która z twojej drogi usuwać będzie wszystko, cokolwiek życie poziome przypominałoby mogło, któraby cię rozumiała i kochała.

— Jakżebym pięknie takiej istocie śpiewał!... pewno tak samo, jak tobie — odrzekł Michał. Był podniecony, zapomniał już o przykrem wrażeniu, jakie pani Irena na nim wywarła, nie patrzył na nią, siadł do fortepianu i śpiewał dla jednej Maryi tylko.

Gdy skończył, słów zachwyty nie szczędzono, jak zwykle.

— Jak to dziwnie jest na świecie — rzekła Marya po pewnym namyśle: — kto inny, z takim jak ty głosem, a nienoszący twojego nazwiska, tryumfalnie światby objeżdżał, zbierał laury i miliony. W twojem położeniu głos jest tylko solonowem bawidelkiem. Teraz coraz lepiej rozumiem słowa mego ojca, który mi powtarzał często, że niektóre pojęcia światowe są paradoksalne i nielogiczne.

Michał na tę uwagę Maryi nic nie odpowiedział, tylko zamyslił się głęboko.

*

*

*

— Na drugi dzień Michał wstał w doskonałym humorze.

— Posłuchaj moich planów — rzekł do brata, gdy się jeszcze w swoim pokoju znajdowali: — nie spałem całą noc, jużem wszystko dokładnie obmyślił. Kupuję twoją część.

— Bardzom rad z tego, tylko mi zaraz na stół daj pieniądze.

— Przyjmę na moje imię wszystkie twoje kieszonkowe długi. Ażeby ci resztę kapitału oddać, pozaciągam pożyczki, o ile mi tylko kredytu starczy, i spłacę cię zupełnie.

— Bardzo to pięknie! ale potem co? — spytał Karol pogardliwie. — Czy wcześniej, czy później, taka masa ciężarów na majątku zniszczyć cię musi. Trochę później tylko, a będziesz zmuszony do sprzedaży Jedlińska.

— Wysłuchaj mnie do końca: Żeby mój spłacić długi, oddam ziemię na kilkanaście lat w zastaw, z dochodów ani grosza brać nie będę i jakaś część długów co rok amortyzować się będzie.

— Cha! cha! — zaśmiał się Karol — winszuję, ale nie zazdrozczę. Pamiętaj, że nie samym śpiewem żyje człowiek, adamowy strój nie zawsze dogodny, a ryby i raki z jeziora to kuchnia niezbyt wykwintna; nie spodziewaj się częstych moich odwiedzin. Co do raków,

lubię je tylko w pewnych okolicznościach. Powiedz mi, co sam, bez żadnych środków do życia, robić będziesz?

— Na pustelnika nie mam zamiaru się kierować, do wygod życia wiele wagi przywiązuję, z moim głosem karyera otwarta przede mną, zaangażuję się do jakiej opery, będę dawał koncerty, pojedę do Ameryki, bylebym pieniędzy jak najwięcej zarobił. Talenty ocale niebo niższe od mojego w przeciągu paru lat miliony wyśpiewać potrafiły. Ja o tem nie marzę, byłem tylko w jak najkrótszym czasie tyle zarobił, bym mógł ziemię wykupić z zastawu i resztę długów zapłacić. Jedlińsk bez ciężarów to jeszcze spora fortuna. Gdy go z długów oczyszczę, osiądę tam na stałe i...

— I co? Wtedy tylko znów jezioru i drzewom śpiewać będziesz?— spytał Karol, który z szeroko otwartymi oczami słuchał mowy brata, uszom swoim nawpół wierząc.

— Nie będę moich zamiarów do końca tail przed tobą. Wtedy z Maryą Krzycką się ożenię.

— A czemuż zaraz tego nie zrobisz? Przyjemniejby ci było, jeżeli ją kochasz i ona ciebie, wędrować razem po estradach.

— Bo nie chcę unieszczęśliwiać jej i siebie. Gdybyśmy się teraz pobrali, musielibyśmy od pierwszego dnia rozpocząć walkę z mate-

ryalnymi przeciwnościami, z przekonaniem całej naszej rodziny i towarzystwa. Musielibyśmy najpiękniejsze chwile naszego życia przepędzać w wagonie lub hotelu, w wiecznej pogoni za groszem, za wywołaniem efektu, by jak najkorzystniej talent mój spieniężyć. A gdyby jeszcze obowiązki się przyłączyły... takie życie to piekło! Żeby długi jak najprędzej spłacić i do Jedlińska móz powrócić, musielibyśmy się ograniczać i liczyć, a ja na poddaszu, w jednym pokoiku, nie potrafilbym kochać i śpiewać. Jedno i drugie piękne, w pięknym otoczeniu oddźwięk znaleźć musi! Trywialna strona życia harmonieby mieszała. Mojego śpiewu publicznego za sztukę nie uważam; to rzemiosło, którego z konieczności na parę lat podjąć się muszę. W takich wykołejonych dla nas dwojga warunkach rozgoryczenie zarazy się wkradło, miłość uleciała, a życie cały urok swój straciło. Z Maryą życie dopiero w Jedlińsku chcę zaczynać, tam tylko odpowiednie będą dla niego ramy. Zresztą wtedy świat inaczej na nasz związek zapatrywać się będzie. Teraz nie darowanoby jej tego nigdy. Wyjść za śpiewaka! Skandal! Awanturnicą byłaby w oczach ludzi. Za parę lat, przeciwnie, będę bogatym... tem skwapliwiej wybaczy mi świat to niby szaleństwo młodości, a Maryi losu może niejedni zazdrościć będą. Wolę poczekać. A i Maryi

możeby sił nie starczyło te ciężkie lata przetrwać. Samemu mężczyźnie zawsze łatwiej przebywać walkę o byt.

— A czy wiesz na pewno, że Marya na ciebie czekać będzie?

— Zdaje mi się, że tak. Jednak obietnicą nie chcę jej krępować. Kobiety zmienne są... mogłaby później uważać tylko jako przykrą konieczność wywiązanie się z danego słowa. A jeżeli, przeciwnie, nie zapomni o mnie, tak samo serdecznie przywita, jak pożegna, tem więcej ją kochać i cenić będę.

Wiadomość o planie Michała, udzielona mieszkańcom Żeromina, była jakby piorunem z jasnego nieba. Na razie nikt odpowiedzieć nie umiał—i gdyby nie jakaś dowcipna uwaga Karola Jedlińskiego, za długie milczenie stałoby się przykrem dla Michała i reszty towarzysztwa. Nikt uwag nie robił, ale od tej chwili zdawało się, że jakaś zaporą dzieliła go od innych. Jedną tylko Marya była więcej serdeczna i ujmująca.

Od tego czasu Michał ledwo na sam wieczór na godzinę pogawędki do Żeromina przyjeżdżał—urządzenie interesów cały mu czas zajmowało. Tymczasem pobyt Karola i księcia Jarosława z tygodnia na tydzień się przedłużał.

Michał swoje interesa szczęśliwie przeprowadzał. Znalazł się kapitalista, który mu dostarczył pieniędzy na splacenie części Karola, a za to na kilkanaście lat nabył prawo do korzystania ze wszystkich dochodów Jedlińska. Dla przedsiębiorcy był to bardzo dobry interes, ale Michał za konieczny podał warunek, że jeżeliby kiedy od razu mógł pożyczoną sumę wraz z dość wysokim procentem wierzycielowi swemu zapłacić, w takim razie w każdej chwili może wejść napowrót w posiadanie dóbr swoich. Nie wątpił, że głos tego kapitału mu dostarczy.

Interesa prawie już zupełnie uregulowane były, pobyt Jedlińskich w Żerominie zbliżał się ku końcowi. Miano nareszcie już tylko dopełnić niektórych formalności, a potem obydwaj bracia do stolicy, każdy ze swoją karierą, podążyć zamierzali. Przez cały ten czas Karol prawie że nie wyjeżdżał z Żeromina, ulegając prośbom pani Ireny,—spuścił się zupełnie na Michała we wszystkich zajęciach i decyzjach podziału majątkowego. Czekał tylko, by należną gotówkę jak najprędzej mu doręczono.

*

*

*

Dzień był pochmurny i chłodny—niekorzystnie wpływał na usposobienie obecnych.

Humory się też zaciemniły, w braku światła i ciepła, tak, że gdy nadeszła godzina konnej przejażdżki, z taką niecierpliwością zwykle oczekiwana, dziś ociągano się z opuszczeniem ciepłego saloniku i zastanawiano się, czyby czem innym rozrywki tej nie zastąpić.

— Gdybym wiedziała—rzekła pani Irena z wyrazem znudzenia i niezadowolenia w kąci-
kach ust, — że w połowie drogi spotkam coś gorącego do rozgrzania i wygodną kanapę do odpoczynku, to możebym się zgodziła w ten wiatr na spacer wyjechać.

— Życzenie pani jest bardzo łatwym do spełnienia — odezwał się książę: — zależy to tylko od dobrej woli. Do mnie stąd nie daleko. Jeżeli państwo moją chatkę wezmą za cel spaceru, można tam będzie odpocząć i rozgrzać się. Wszystko na usługi oddaję; byłbym najszczęśliwszym choć na tak krótką chwilę mieć panią u siebie... to jest panie, wszystkich państwa — poprawił się książę.

— Wybornie! Doskonale! Idealny projekt!—zawołała pani Irena, zrywając się z kanapy, do której zdawała się być od paru godzin przyrośniętą. — Że nam też dawniej ta myśl do głowy nie przyszła. Jak to będzie zabawnie zaskoczyć mieszkanie księcia tak

nagle, bez przygotowania! Lepiej się ludzi poznaje, widząc, jak oni mieszkają.

Projekt z zapalem przyjęto i nawet humory jakoś się rozjaśniły. Już się wyczerpywały wiejskie przyjemności i rozrywki; gdy brakło nowej zabawki dla zabicia czasu, ludziom tym, będącym zawsze w pogoni za jakimś nowym wrażeniem, by wypełnić pustkę i czczość życia, dzień wydawał się nudnym i monotonnym; brak słońca i zimny wiatr tylko potęgował te wrażenia. Co robić w takim usposobieniu, gdy nowej zabawy braknie? Rozmowa z osobami, które się widzi przez czas dość długi, urok traci; flirtuje się z przyjemnością tylko w pewnych godzinach; dla uniknięcia nudów trzeba różnaitości i rozrywek. Dlatego też z taką radością zaproszenie księcia przyjęto. Panie były zachwycone najazdem na dom jego. Wysłano naprzód służącego, by ogień na kominku i gorące przekąski przygotował.

W godzinę później wesołe grono, przeciwko chłodnemu wiatrowi ciepłymi paltotami zabezpieczone, galopowało szeroką topolową aleją, na końcu której rysowała się wysoka brama, a za nią duży, ceglany, w nowożytnym stylu budynek. Pani Irena koniowi swemu szpicruty nie żałowała, naprzód pędziła, pilno

jej było znaleźć się w mieszkaniu tego, który w obecnej chwili wypełniał myśli jej wszystkie. Przypuszczała, że może znajdzie swoje wspomnienie w szczegółach i odcieniach urządzenia mieszkania, dla niej tylko widoczne. Uważne przypatrzenie się czyjemuś mieszkaniu, tem bardziej, jeżeli osoba ta posiada środki, odpowiednie swoim fantazyom i upodobaniom, jest to rzut oka na jej usposobienie, gusta i charakter, uchylenie rąbka zasłony życia domowego, codziennego.

Za chwilę znaleźli się wszyscy w obszernej bibliotece, przed ogniem kominkowym, a smaczna przekąska, jaką tam przygotowaną znaleziono, wpłynęła bardzo na polepszenie dobrego humoru.

— Musisz nam szczegółowo cały dom pokazać — rzekł Karol, który, tak samo jak panie, był tu po raz pierwszy. — Cha! cha! o honorbym się założył, że my tu poodkrywamy rozmaite kawalerskie tajemnice! Dopiero byłoby zabawnie! No! Jarosławie, drzyj! ciężka dla ciebie wybiła godzina!

— Niestety! boję się, że doznasz rozczarowania — odrzekł książę spokojnie.

Pani Irena i Marya, wstając, dały hasło do oględzin. Obydwie były w złotych humorach — robiły wrażenie dwóch pensyonarek na

wakacyach, które po przyjeździe do domu plon-drują z radością po wszystkich kątach, cieszą się każdą drobnostką, na pensyi niewidywaną. Wszystko musiało być obejrzone, a książę Jarosław, zachwycony, że jego goście tak się dobrze bawią, objaśniał i odpowiadał szczegółowo na tysiączne pytania.

— Jaki wszędzie porządek! doprawdy, zachwycona jestem — rzekła pani Irena, stając przed etażerką, symetrycznie chińskimi figurkami zastawioną. — Ja tak lubię porządek! To zupełnie tak wygląda, jakby moja ręka tędy przeszła.

— Jeśli nie ręka, to myśl o pani zawsze tu jest obecną — dodał cicho książę, stojąc tuż obok pani Ireny.

Czemuż oni sami nie mogą być w tej chwili! Pani Irena nieproszonym świadkom wcale rada nie była. Jakżeby to było rozkosznie być tu, u niego, w jego domu, samej, z nim tylko jednym! To zupełnie inne wrażenie, niż mieć go u siebie. Tamto już spowszedniało i na uroku tracić zaczyna; to, przeciwnie, byłoby nowością; to więcej hazardowne, a więc i interesu więcej wzbudza. Pani Irena stała przez chwilę zamyślona, niby przypatrując się chińskim figurkom. Dziwna jej myśl przyszła do głowy. Gdyby go tak kiedy

odwiedzić samej, incognito — ileż wrażeń rozkosznych a nowych! Śmiałość i ryzykowność tego planu nęciła ją urokiem i nerwy podniecała. Odeszła od etażerki z figurkami i przyłączyła się do reszty osób, biorąc udział w ogólnej rozmowie.

— Co tutaj jest? — spytała nagle, wskazując na jedne drzwi zamknięte, objęte zwojami artystycznie udrapowanej portyery z czerwonego pluszu.

— To mój sypialny pokój — odrzekł książę.

— Musimy go też, tak jak wszystkie, zobaczyć — odparła pani Irena.

I mówiąc to, żwawo do drzwi tych się zbliżyła. Jednak, ledwo je otworzyła, dalej nie poszła... Stała na progu i... napowrót je zamknęła. Co mogło ją tam zadziwić lub przestraszyć? Naprzeciwko drzwi stało biurko, zarzucone papierami, a nad niem. . portret pani Ireny, przez nią samą księciu Jarosławowi darowany. W jednej chwili zrozumiała, że portretu jej tutaj mąż widzieć nie może... Niemile z tego mogłyby wynikać następstwa. A i Karol Jedliński rozpowiedziałby zaraz o tem każdemu, ktoby słuchać chciał. Pani Irena prędko się zorientowała i kontenansu nie straciła.

— Ach! Jakaż ja jestem nierozważna! — rzekła z uśmiechem, trzymając klamkę. — Zapomniałam, że pannę mamy między sobą. Pannom nie wypada wchodzić do kawalerskich prywatnych pokoi.

— Jak uważasz — odrzekła Marya. — Nie krępuj się mną. Pójdę tymczasem ogród obejrzeć i nie będę poszkodowaną.

— Ale to niegrzecznie samą cię zostawić. Niech mój mąż ci towarzyszy.

Posłuszny Jazłowiecki podał ramię Maryi i, śmiejąc się, wyszli z pokoju. Michał Jedliński podążył za nimi.

Tymczasem pani Irena ciągle rękę na klamce trzymała. Karol stał tuż za nią. Śmiała się i dowcipkowała, zwlekając z otwarciem drzwi. Karol skończył papierosa, odwrócił się, by go wyrzucić i nowy zapalić. Pani Irena prędko drzwi uchyliła.

— Ach! na biurku jakiś list zaczęty i niedokończony — zawołała, niby cofając się; — mimowoli, przypadkiem, jakieś słówko mogłoby nam wpaść w oko i wiele niepotrzebnych rzeczy zdradzić. Nie możemy się narażać na popełnienie podobnej niedyskrecyi...

I drzwi się zamknęły. Chwała Bogu! Nikt, oprócz niej, portretu nie widział.

Tymczasem Marya z tamtymi panami znalazła się w ogrodzie, który nic zajmującego w sobie nie mieścił. Nie zbywało na pięknym materyale, ale znać było brak zamilowanej ręki, któraby otoczeniu nadała wygląd staranny i ujmujący. Książę prawie nigdy przedtem do tej posiadłości nie zaglądał, pierwszy raz w tym roku dłużej pozostawał, a ogród wielkiego interesu w nim nie budził.

Maryja ciekawie rozglądała się po otoczeniu.

— Jaki malowniczy punkt!—rzekła, wskazując oddaloną o kilkanaście kroków, nawpół rozwaloną, kamienną altanę, w kształcie kiosku z kolumnadą wkoło, po której bezładnie pięły się powoje, a z szerokich szczelin wyrastały dzikie trawy. — Tam pewno od stu lat ludzka noga nie stąpnęła. Chodźmy to zobaczyć. To ciekawe.

Wnętrze altany wyglądało ponuro, powietrze było wilgotne, zapachem grzybów nasiąknięte, gdzieniegdzie leżały stosy kamieni z rozwalonego sufitu.

— Siedlisko gadów i duchów — zauważył Jazłowiecki. — Miejsce, stworzone dla zrozpaczonych kochanków, pragnących sobie życie odebrać.

— A to co? — zawołała Maryja, zbliżając się do otworu w ziemi.

— To pewno zejście do lochów, gdzie dyabeł, w postaci czarnego psa na łańcuchu, skarbów strzeże. Chodźmy go zobaczyć. — Mówiąc to, Maryja zajrzała do wnętrza otworu.

— Ostrożnie, zatrzymaj się — rzekł Michał i Maryję lekko na bok usunął. — Ja wejdem naprzód, zapalę zapalę i zobaczę, czy schodzić warto.

Michał po kamieniach, stanowiących niby schody, zeszedł do wnętrza i z zapaloną zapalną rozglądał się wokoło. Maryja nachylona stała tuż za nim.

Otwór był dosyć duży, okrągławy, z jednej strony, do środka, sterczała reszta kamiennego posadzki, jakby w powietrzu zawieszona, tylko spojenie z cementu z murem ją łączyło. Michał stał tuż pod tymi kamieniami, które, gdyby się nagle oberwały, na niego spaść by musiały. Maryja powoli na pierwsze stopnie zstępowała, rękami o wyszczerbiony mur się opierając. Tymczasem Jazłowiecki po altanie się rozglądał, kombinował z rozwalisk pierwotne jej kształty i ozdoby. Nad otworem do podziemia znajdowała się jakaś płasko-rzeźba, która jego uwagę podnieciła. Może stylowa! Może posiada wartość artystyczną! Jazłowiecki w nią się wpatrzył i o świetle zapomniał. Laską zaczął zrzucać mech, który

złośliwie piękny ornament do połowy zakrywał. Ale rzeźba widocznie ledwo się w miejscu trzymała—za silniejszym laski dotknięciem oderwała się od muru i upadła na kamienie, które nad otworem sterczały. Cement, łączący je ze ścianą, zarysował się... jeszcze jedna setna sekundy, oderwą się zupełnie i spadną na głowę Michała, który w podziemiu tuż pod nimi się znajduje. Lecz nie spadły. Marya, stojąc przy nich, zobaczyła niebezpieczeństwo, wyciągnęła ręce, a sił wszystkich z siebie dobywając, podtrzymała głazy, które Michała zabić chciały.

— Michasiu! wychodź jak najprędzej! — zawołała na niego, a z wysiłku krew oczy jej i twarz zalewała i ręce się gięły pod ciężarem kamieni.

Michał, zapatrzony w podziemie, nie wiedział, co się nad nim działo; zdziwiony stukiem i rozkazem Maryi, pośpieszył, by go wykonać jak najspieszniej. Gdy wyszedł, Marya przechyliła się na bok i ręce opuściła. Kamienie z łoskotem do wnętrza wpadły. Ale zapomniała, że i względem siebie ostrożną być należy. Szybszym ruchem oddalić się była powinna, gdyż kamienie, spadając, o rękę jej zaczęły, krwawą, głęboką smugą ślad swój na niej zaznaczając. To wszystko tak się prędko odbyło, że Michał nawet nie miał czasu o nic

się zapytać; dopiero gdy zobaczył zakrwawioną rękę Maryi, z przestachem podbiegł do niej.

— Co to wszystko znaczy? — zawołał. — Czemuś kamienie podtrzymywała? Gdys widziała, że spadają, należało uciekać.

— Byłyby na ciebie spadły — odrzekła z prostotą i spokojnie chustką rękę z krwi wycierała.

— Dziękuję ci, dziękuję! — mówił Michał z przejęciem.

Więcej słów podzięki wymówić nie był zdolnym, tylko oczy wiele, bardzo wiele za niego powiedziały. Przy wejściu do altany stał książe, który nadszedł tutaj z resztą towarzystwa. Pani Irena z Karolem pozostała w tyle, zbierała kwiaty powoi i stroiła się nimi, delikatnymi ich łodyżkami owijała sobie figurę i ręce. Idąc, książe z daleka ujrzał Maryę, odłam muru rękami podtrzymującą, i Michała, który z podziemia wychodził. Gdy kamienie spadły i on ich ślad krwawy na rękę Maryi zobaczył, nie zbliżył się do niej, jak inni, stał w miejscu, wydawał się głęboko zamyślonym, patrzył na otwór do podziemia i ogarnęło go jakieś dziwne, nieokreślone wrażenie. Z zajęciem patrzył na to miejsce, w którym Maryę stojącą zobaczył, a umysł jego przedłużał przed oczami wyobraźni cudny obrazek, na którym

była Marya ze wzniesionemi ku górze rękami, by kamienie nie spadły na głowę ukochanego. Czy ukochanego? Może to był tylko czyn, poczuciem humanitarnem wywołany? może osobiste uczucie roli żadnej w tem nie grało? Książę się zamyślił, o mur oparł; w altanie jego obecności nie zauważono wcale. A tymczasem przed oczami rysuje się ciągle zręczna i wiotka sylwetka tej dziwnej karyatydy; widzi, jak delikatne i małe rączka zachwiały się pod ciężarem kamieni, które przeszły po nich czerwonym zygzakiem, i jak deszcz piasku i gruzu zasypał oczy Maryi. A ona się uśmiecha i rada, że komuś jakąś usługę oddać mogła. Książę z zajęciem patrzył na nią. Ten śliczny obrazek bawił go i zajmował, przywodził jakieś myśli dziwne, inne, nie takie, jakie mu jego codzienne życie nasuwało. I myślał sobie, że kobiety to nigdy niewyczerpane źródło wrażeń; a jemu się zdawało, że już żadna z nich wrażenia wyrzucić na nim nie zdoła—tymczasem nic nieznająca dziewczynka, dziecko prawie jeszcze, wyciągająca ręce, by kamienie, od niej samej nie o wiele mniejsze, w biegu powstrzymać, niespodzianie nerwami jego wstrząsa i wzrusza. Czemu? Odpowiedzi nie było, tylko przed oczami majaczy ciągle ta żywa

karyatyda w czarnej amazonce, a kamienie leżą na jej rękach.

Nareszcie książę przypomniał sobie, że jest gospodarzem domu. Zbliżył się do Maryi, która zranioną rękę chustką sobie owiżywała, i przeproszał, że ją taka niemiła przygoda u niego spotkała.

— To nic — rzekła ze śmiechem, — to urozmaicenie spaceru i nic więcej...

I strząsać zaczęła proch i gruzu, którymi zasypaną była. We włosach dwa kamyki tak się zaplątały, że ich stamtąd wyjąć nie było można.

— Niech je pani tam zostawi — rzekł książę; — jest pani z nimi bardzo do twarzy.

Marya się uśmiechnęła i zadość uczyniła prośbie księcia.

Przed altaną stała pani Irena i rozmawiała żywo z Karolem Jedlińskim. Figurę miała oplecioną powojami, wiatr ją rumieńcami okraślił—wyglądała prześlicznie, jakby czarodziejka z tych opustoszałych zarośli. Wzrok księcia obojętnie po niej się prześliznął. Widok ten żadnego w nim nie wywołał zajęcia—nie był nowy. Już wyczerpał wszystkie wrażenia, jakich mu ona dostarczyć mogła; jemu coraz to czegoś nowego potrzeba było. Patrzył na tę filigranową karyatyde, jak Maryę już w myśli nazwał, a o pani Irenie zapomniał. Kamyki,

zamiast kwiatów włosy jej strojące, dodawały jej niezwykłego uroku. Umysły, karmiące się wrażeniami, poddają się zwykle temu, które ostatnie, nowe lub niezwykle.

Wszyscy się wkoło Maryi zgromadzili i serdecznie nad nią ubolewano.

— Moje biedactwo, całe gruzem zasypane, tak nieciekawie wygląda — rzekła z politowaniem pani Irena i starannie otrzępywać ją zaczęła.

Robiła to z rzeczywistą troskliwością i litowała się, że Marya tak się niekorzystnie prezentuje. Od czasu do czasu na księcia spoglądała, a oczy mówić się zdawały: „Nieprawdaż, jak w tych kwiatkach pięknie mi jest? Żadnego współzawodnictwa się nie boję.“ Starannie kamyki z włosów wyjęła.

Gdy Marya swój zwyczajny odzyskała wygląd, książę oczy w stronę otworu do podziemia skierował—i widział znowu wychyloną z niego, zręcznie pod ciężarem kamieni przeginającą się swoją filigranową karyadytę z krwawymi węzami na ręku i uśmiechem na twarzy.

— Do domu wrócić nam już trzeba — zauważyła pani Irena.—Moja ty biedna! Głowę masz też stłuczoną i ręka pewno cię boli.

Książę podał rękę Maryi i ku domowi się skierowano.

— Niech mi pani powie — spytał się jej w drodze, — czy pani dla każdego człowieka bez wyjątku narażałaby się w podobny sposób?

Marya ze zdziwieniem spojrzała na księcia.

— Czyż możnaby inaczej postąpić? Nie żał rąk, gdy o życie ludzkie chodzi. Zdaje mi się, że gdybym widziała walący się na kogoś gmach cały, tobym się nie zawahała sobą go zatrzymać. To byłoby niedorzecznością... po namyśle pewnoby tego nigdy nie uczyniła, ale w takich razach na myślenie czasu niema: idzie się zwykle za pierwszym popędem. O! ja-bym się na wszystko odważyła!

Książę się uśmiechał—bawiła go jej bawura. Takich zuchwałych dziewczynek często w świecie nie spotykał. Patrzył na tę małą, zwinną osóbkę, którąby można było w dwóch palcach do góry podnieść, i pierwszy raz zauważył, że rączki miała prześliczne i maleńkie. Głośny wybuch śmiechu pani Ireny przypomniał mu o jej istnieniu. Pomyślał, że pewnoby tamta dla nikogo rąk swoich na skaleczenie nie narażyła—i znowu wzrok i myśli ku Maryi skierował.

Z boku szedł Michał Jedliński. Myśli różnych cała powódź tłoczyła mu się do głowy, miał tyle pięknych rzeczy Maryi do powiedzenia, tylko w odpowiednie słowa ubrać ich

jakoś nie umiał. Gdy chciał się odezwać, wyrazi mu się zbyt banalnymi i chropowatymi wydawały — i milczał.

Pani Irena z Jazłowieckim i Karolem Jedlińskim szła na końcu. Po drodze jeszcze się w kwiaty stroiła—wiedziała, że jej w nich do twarzy; pewna była, że księżę będzie, jak zwykle, na nią tylko patrzył i podziwiał. Nie przypuszczała, że może się już zakończyła serya dla niej przeznaczonych wrażeń i zachwyków; nie przypuszczała, że może dzień ten był końcem jej królowania w umyśle księcia. Efektem, wybrykiem fantazyi swojej i jego, władzę tę zdobyła; inny efekt, może nawet mniej silny, ale nowy, traf, przypadkowy wynik podnieconej wyobraźni, napowrót mógł ją zburzyć.

*

*

*

— Jak się miewasz, Maryo? — pytała najszybciej pani Irena, wchodząc do Maryi pokoju — czy bardzo ci w nocy ręka dokuczała?

— Dziękuję ci za pamięć. Mocno mnie ręka boli, prawie całą noc nie spałam. Więcej cierpię, niż w pierwszej chwili.

— Biednaś ty! Musisz się czuć bardzo zmęczoną.

— O, tak! Dlatego nie wiem jeszcze, kiedy wstanę.

Pani Irena usiadła na krawędzi łóżka Maryi i swobodnie gawędziła. Sypialny pokój i negliż usposabia do poufalszej i większej otwartości, to też może nigdy pogawędka tych pań nie była swobodniejszą—i pani Irena wyjątkowo długo pozostała w pokoju Maryi. Przypatrywała się z zajęciem tej drobniutkiej istotce, która w łóżku prawie ginęła; wśród kołdry, poduszek i półcienia firanek rysy niewyraźnie się odcinały, tylko oczy jasne, zielonawo-szare, serdecznie patrzyły na nią i pociągały ku sobie tą właśnie jasnością wyrazu i koloru. Oczy Maryi były największym jej urokiem. Jakieś serdeczniejsze uczucie, jakby potrzeba opiekania się nią, odezwało się w sercu pani Ireny. Nieprzeparta sympatya i chęć otoczenia jej tą opieką i pieczołowitością, do jakiej tylko kobiety są zdolne, przykuwały ją do łóżka Maryi. Bo przecież pani Irena kobietą była—czy wcześniej czy później, odczuć musiała właściwą naturze swej potrzebę myślenia o kimś z troskliwością i staraniem, które o sobie nieraz zapominać każe, a w ważnych chwilach do poświęcenia, nawet do bohaterstwa prowadzi. Była bardzo serdeczna

interesowała się tysiącnymi drobiazgami, ty-
czącymi się Maryi i jej wygód.

— Źle ci tak leżeć, moja mała — mówiła,
poduszki poprawiając.—Głowa ci w tył spada,
gorzej cię potem boleć będzie.

I podniósłszy głowę Maryi, ułożyła ją sta-
rannie na wyrównanej poduszce.

— Dlaczego taką grubą szpilkę we wło-
sach zostawiłaś? Pewno ci przeszkadzała i ból
głowy powiększyła.

Pani Irena wyjęła szpilkę i zaczęła delika-
tnie splatać włosy Maryi, układając z kokietery-
ją grzywkę i każdy ich promień.

Marya czuła się osłabioną i przez kilka
dni nie opuszczała swego pokoju. Dopiero
w dzień wyjazdu Jedlińskich i księcia Jarosła-
wa zjawiała się w salonie. Weszła po cichu, nie-
postrzeżenie, na palcach, a lewą ręką, gdyż
prawą jeszcze miała na temblaku, panią Irenę
niespodzianie za szyję objęła.

— Ach! to Marya! — ogólny był wy-
krzyk — tak niespodzianie! Jak się miewasz?
a ręka?

— Jesteś pod każdym względem nadzie-
mską istotą — rzekł Karol Jedliński, fotel jej
przysuwając. — Swą maleńką rączką walące
się mury zatrzymujesz i przesuwasz się mię-
dzy ludźmi jak duch albo czarodziejka.

— Koniec końcem— dodał Karol po chwi-
lowej przerwie, — można cię tylko równać
z bohaterami starożytności. Wyrastasz ponad
przeciętną miarę terażniejszych panien. Je-
szcze mi się jakieś wspomnienie płacze po gło-
wie o jakimś Greku czy Rzymianinie, który coś
bardzo ciężkiego na karku swym podtrzymywał.
Ale po co, gdzie?... nie mam pojęcia. Wogóle
do nauki historii nie czułem nigdy inklinacji.

W tej chwili obiad zaanonsowano.

— Nasza mała jednoreka bez bony obejść
się nie może— rzekła pani Irena; —kto jej przy
stole krajać będzie?

Wszyscy ofiarowali swoje usługi.

— O takim zaszczyście tylko los rozstrzy-
gać może — rzekła Marya; — niech panowie
węzełki wyciągają.

Los księciu Jarosławowi był przychylny.
Nie gniewał się o to bynajmniej. Od kilku
tygodni siedział zwykle przy pani Irenie,
a w ostatnich dniach przychodziły mu do
głowy dziwne myśli o nudach i monotonii.
Zawsze był tego zdania, że rozmaitość towa-
rzystwa i wrażeń we wszystkim jest pożąda-
ną, a tem bardziej przy jedzeniu: rozmowie
więcej dodaje interesu, wpływa na dobry hu-
mor i apetyt, a więc i dla zdrowia jest pewna
korzyść. On przecież panią Irenę kocha—to
prawda... najszczęśliwszy, gdy jest przy niej;

ale początek tej miłości gdzieś tam się gubi w pomroce przeszłości, jeszcze poprzedniego karnawału sięga. A zajmować się nią bez przerw przez jakiś czas przy stole, przypomina najnudniejszą w świecie instytucję, w przystępie mizantropii przez jakiegoś tyрана ludzkości wymyśloną — małżeństwo. W taki sposób spowszedniełoby sobie zbyt prędko; a takiej ostateczności książkę Jarosław nie życzyłby sobie jeszcze. Zatem postanowił, dla wspólnego ich interesu, urozmaicić sobie wrażenia małą, interesującą karyatydą.

Ulokowawszy Maryę w wygodnem krześle, przez ciąg całego obiadu był na jej usługi.

— Doprawdy — mówił ze śmiechem, — pani tak mało je, że jestem w rozpacz. Schudnie pani przez czas mojej opieki, a to byłoby straszną dla mnie kompromitacją. Czyżby pani należała do panien, wstydzących się jeść?

— O! co to, to nie! Dziś nie mam apetytu. Chyba książkę nieraz mógł się przekonać, że nie pochwalam tych panien, które uważają jedzenie za jakąś czynność złego gustu.

— Nie pojmuję takiej niesprawiedliwości, gdyż ja kuchmistrzowstwo udoskonalone i wyrafinowane do sztuk pięknych zaliczam i stawiam wyżej nad inne.

— Cha! cha! cha! Jakie to zabawne! Pierwszy raz slysze podobne zdanie. A jak książkę sobie wyobraża muzę tej sztuki? Pewno okazałych rozmiarów kuchareczka, kurczęta zabiająca, otoczona wszystkimi akcesoryami swego zawodu? Czy nie?

— Niech pani przedwcześnie ze mnie się nie śmieje. Jak bliżej myśl moją wyjaśnię, będzie pani tego samego co i ja zdania. Proszę tylko tak niedowierzająco główką nie kręcić, bo za karę winogron pani nie dostanie. Jeszcze raz powtarzam: kuchmistrzowstwo jest sztuką piękną, wyższą nad inne. Proszę mnie cierpliwie wysłuchać. Nieprawdaż, że dlatego są one pięknymi nazwane, że wywołują wrażenie piękna i zachwyty; sprawiają zadowolenie zmysłom naszym, gdyż tylko przez zmysły trafiają do naszego pojęcia? Muzyka sprawia zadowolenie naszemu słuchowi, inne zmysły żadnej korzyści ani przyjemności z niej nie mają. Malarstwo zaś i rzeźba działają na nasz wzrok. Ale sztuka kulinarna ma tę wyższość, że zadawalnia wszystkie zmysły: smak i wzrok zachwyca pięknie podanymi potrawami, zapachem lechce nasze powonienie, a głodnym rozkoszniejsze czasem niż poezya i muzyka nasunąć może marzenia. Musi jej pani przyznać pierwsze miejsce między sztukami pięknymi.

— Przyznaję to przedewszystkiem, że książkę musi być niepospolitym smakoszem i łakotnisiem.

— Nie zaprzeczam; lubię wszystko, co dobre i przyjemne.

— Ale zapomnieliśmy o słuchu... Ten zmysł chyba na jedzenie wrażliwym nie jest.

— O! to zależy, jak kiedy—odparł książkę po krótkim namyśle. — Dlaczego nie? Jeżeli pani, na przykład, kilka dni nie jadła i naraz usłyszała obok siebie, że się coś gotuje lub smaży, czyby się pani temu szmerowi z rozkoszą nie przysłuchiwała? Z większą może w danej chwili, niż najpiękniejszej muzyce lub śpiewowi.

— Z wyjątkiem śpiewu Michała — rzekła żywo Marya; lecz spotkawszy złośliwy uśmiezek księcia, pożałowała słów swoich i zaczerwieniła się, nie wiedząc sama dlaczego.

Księcia oczy złośliwie ciągle błyszczały, a dyskretne wąsy ukryły znaczący uśmieszek. Kuzynek ze stemplem artysty—to gotowy bohater dla ośmnastoletniej główki! Ale też i taka główka, dla takich nawet jak książkę znawców—to studjum, niemalym otoczone urokiem.

Książkę z zajęciem Maryi się przyglądał; znajdował, że z blizka bardzo zyskuje, dużo światła z góry podnosi jej płeć blondynki,

a zarazem uwydatnia te miękkie, delikatne załamania rysów, które robią jej twarzyczkę jeszcze więcej filigranową; a w kącikach ust, zarysowanych ku górze, książkę Jarosław przypuszczał jakiegoś przyczajonego, wesołego dyabełka, który, dotąd przygnieciony poważnym wychowaniem, zacząłby pewno jakieś sztuczki pokazywać, jeżeliby ktoś potrafił wywabić go stamtąd i podniecić.

— Maryo! Za twoje zdrowie! — ozwał się głos Karola Jedlińskiego, który przerwał ich rozmowę—twoje i twojej ręki!

— Dziękuję!... wybacz, że wodą, a nie winem. Ale nie chcę pić wina przy bólu głowy.

— Nie chwali ci się to. Bierz ze mnie przykład. Wody do ust z zasady nie biorę... od niej się tylko żaby lęgną w żołądku.

— Żartujemy i śmiejemy się ciągle — przerwała pani Irena, — a zapominamy, że to już dziś ostatecznie oznajmić trzeba babci o postanowieniu Michała i jego wyjeździe. Mnie się aż zimno robi na przypuszczenie tego, co babcia powie.

— W milczeniu pioruny przyjmę — rzekł Michał, który mało się odzywał, nie spuszczaając tylko oczów z księcia Jarosława i Maryi.

Gdy po obiedzie wszyscy, jak zwykle, do marszałkowej przeszli, Michał Jedliński ozwał się w te słowa:

— Karol i ja musimy już za gościnność w Żerominie podziękować i pożegnać ciotkę; powracamy dziś do Jedlińska, a później dalej w świat mamy zamiar wyruszyć.

— Karol, rozumiem, że do swoich wojskowych obowiązków śpieszy; ale ty? dokądże to? — spytała marszałkowa, badawczo nań patrząc.

— Interesa moje tak się ułożyły, że w Jedlińsku nie mogę pozostać. Kupiłem dział Karola i na to się ogromnie zadłużyłem; muszę jakimkolwiek sposobem zapracować wiele pieniędzy, żeby mój z tych ciężarów ziemię uwolnić. Postanowiłem z mego głosu skorzystać, śpiewać na koncertach i w operach... z tego wielkie korzyści osiągnąć można.

— Co?!!! Co ty mówisz? — zawołała marszałkowa — śpiewakiem zostajesz? Powtórz!... Nie! nie wierzę! Chyba niedosłyszałam, albo jedno z nas zmysły postradać musiało!

— Żadna z tych ostateczności, ciotko, nie zaszła. Tak, śpiewakiem zostaję.

Marszałkowa dała znak, żeby się wszyscy oddalili, z wyjątkiem Michała. Gdy zostali sami, jeszcze raz kazała sobie postanowienie jego powtórzyć. Patrzyła groźnie, nie odzywając się przez chwil kilka.

— Szalony! — zawołała, nagle wstając. — Skąd tobie ta myśl przyszła? Zastanów się! Czy ci zawadza tradycja twego nazwiska, nie-skałana, opromieniona uczciwością i szlachetnością twoich przodków, idealnem ich poczuciem honoru? Nazwisko zaszczytne i honor tego imienia generacye ci przekazały, a ty je chcesz szargać po estradach oraz budach jarmarcznych i piękny twój talent, tę iskrę Bożą, z nieba ci zesłaną, za srebrniki oddawać, głupiej gawiedzi na uciechę rozrzucać! Nie! to nie może być! Powiedz, że tego nie zrobisz!.. To zbyt nikczemne, zbyt upokarzające człowieka twojego stanowiska i urodzenia. Byłbyś inaczej niegodzien stąpać po tej świętej ziemi naszej!

— Jesteś zbyt surową, ciotko. Mnie o nic nie chodzi, tylko o prędsze i łatwiejsze dopięcie celu. Zresztą, choćbym się w Jedlińsku na śmierć zapracował, to wątpię, czybym nawet przez całe życie olbrzymie długi, jakie na nim ciążyą, spłacić zdołał. Musiałem więc wymyślić jakieś nowe źródło dochodów. Dotąd dosyć dobrze umiałem się gospodarstwem i interesami zająć, ale więcej produktywnie pracować nie potrafię. Do czego jestem najwięcej uzdolniony, z tego chcę korzyści wyciągnąć. Moje bohaterstwo tak daleko nie sięga, żebym się aż całe życie poświęcał i dręczył. Ja jestem

tylko zwyczajnym człowiekiem z krwi i kości, chcę po tych paru latach pracy i zaparcia się siebie choć trochę szczęścia i zaspokojenia moich upodobań, przyjemności, choć trochę pożyć dla siebie samego, dla mojego zadowolenia, którego tylko przy pewnym dostatku doznawać mogę. To zawiele na zawsze o sobie zapominąć.

— A! tak! tobie się chce używania i pohulanki! Dlatego honorem, nazwiskiem i talentem handlować chcesz, by mieć później pieniądze na rozpustę i bezceństwa! W tem ostatnim powiedzeniu ujawniła się cała niskość twego charakteru! Boże! jakże ten rodzaj ludzki spodłał i skarłowaciał! Rozumiesz?.. tyś podły! nikczemnik! hipokryta! niegodzien ręki, ni szacunku ludzkiego, boś się zaparł honoru i pracy cichej a uczciwej. Masz na celu egoistyczne i niskie zachcianki, by żyć i użyć, zaspokoić tylko ziemskie pragnienia i pożądlivości. Odejdź! nie kalaj mego domu twoją obecnością, nie przestępuj więcej moich progów, zapomnij, żeś miał we mnie krewną i życliwą.

Przez cały czas tej mowy Michał mienił się na twarzy, a silnych wrażeń maskować nawet nie próbował. Milczał już do końca,

uważając za bezcelowy trud walkę z marszałkową na słowa. Skłonił się i wyszedł.

Gdy powrócił do salonu, wszyscy z zajęciem ku niemu podbiegli.

— No i cóż? Jakże ci poszło?—ogólne było zapytanie.

— Tak, jak się tego spodziewałem. Marszałkowa, oburzona na mnie, dom mi swój wypowiedziała, muszę więc was pożegnać i zaraz do Jedlińska powracać.

Ogólne było zakłopotanie. Spoglądano po sobie. Pierwsza pani Irena milczenie przetrwała!

— Jakże mi przykro! Ale, mój Michasiu, nie bierz tak bardzo gniewu babci do serca. Wiesz, jak ona surowo świat i ludzi sądzi. My byliśmy i będziemy zawsze najlepszymi twoimi przyjaciółmi.

— Będziemy najszczęśliwsi widzieć cię zawsze u nas w Berlinie—rzekł Jazłowiecki, rękę mu podając.

— Za życzliwość serdecznie wam dziękuję—odparł Michał.—A więc do widzenia. Pewno w zimie nieraz spotykać się będziemy.

Pani Irena usilnie zapraszała. Śpiewak z takim cudnym głosem, otoczony aureolą arystokratycznego pochodzenia, to będzie nie-

lada wabik do jej salonów, będzie im dodawał interesu i uroku.

Żegnano się i gawędzono o potocznych rzeczach.

— Przypomniała mi się jedna okoliczność—przerwał Jazłowiecki:—wszak to jutro wigilia św. Jana... musimy tak, jak co rok, sobótki zapalić. Wiecie co? Niech książę i Karol do jutrzejszego wieczora zostaną jeszcze, dajmy sobie *rendez vous* z Michałem na oznaczonym miejscu, spotkamy się tam razem i sobótki zapalimy. Jakież to będzie piękny rodzajowy obrazek! Dopiero po zabawie rozjedziemy się, każdy w swoją stronę.

Podany projekt z radością przyjęto—nowa rozrywka wszystkim się uśmiechała.

— A więc do jutra! O jedenastej wieczorem! Na polance, na prawo od rozstajnych dróg!—wołano za odchodzącym Michałem.

— Do jutra!—powtórzyła za wszystkimi Marya półgłosem, gdy Michał na pożegnanie zbliżył się ku niej.—W głowie mi się mąci; nic nie rozumiem, czemu marszałkowa tak okrutnie z tobą postąpiła. Jakie powody może mieć ku temu?

Michał nie zdążył odpowiedzieć, gdyż go pani Irena w inną odwołała stronę. W parę

chwil skłonił się i wyszedł. Jazłowiecki i Karol pośpieszyli za nim do przedpokoju.

— Ach! ręka mnie tak mocno zabolą!—rzekła Marya, która nad drganiem ust i twarzy, płacz znamionującym, zapanować nie umiała.—Pójdę do siebie, bom bardzo zmęczona.

I niemówiąc nawet nikomu dobranoc, wyszła z salonu. Biegła przez pokoje i kurytarze, a łzy po twarzy jej ciekły. Biedny Michał, biedny! Smutny i upokorzony, z przyjaznego domu uciekać musi, wypędzony jak zbrodniarz! A za jakie winy? Czy dlatego, że na czas jakiś chce się wyrzec swoich upodobań i zamiłowań, swego cichego zakątka, gdzie się najszczęśliwszym czuje, i zachwyty i skarby swej artystycznej duszy tłumom za pieniądze chce rozrzucić? Teraz wraca do siebie smutny i rozgoryczony, sam jeden, wśród ciemności... wesolym uśmiechem nikt go nie przywita, serdeczną mową czarnych myśli nie rozpędzi... nie będzie miał komu zaśpiewać, by w tym śpiewie zapomnieć o niesprawiedliwości i ciasnocie pojęć ludzkich.

*

*

*

Pani Irena i książę Jarosław chwilowo sami w salonie pozostali. Książę przysunął się

z fotelem do pani Ireny; jedną ręką odsuwał dzielący ich stoliczek, drugą szukał jej ręki. Ale fortuna zmienną bywa. Zwykle pani Irena w cztery czy tak łaskawą dla księcia bywała, tak umiała nie tylko odpowiedzieć na jego żądania, ale nawet je przeczuć, odcienie ich zrozumieć! Ta umiejętność dostrajania się do usposobień swoich wielbicieli była jej specjalnością. Tem zrozumieniem i... podzieleniem wrażeń na dłużej, niż wiele innych, przykuwała ich do siebie. Ale dziś niemiła niespodzianka spotykała księcia. Pani Irena dzielący ich stoliczek tak silnie małemi nóżkami przytrzymywała, a ręka tak się mocno gdzieś między fałdami sukni i poduszkami szeslonga zaplątała, że nie sposób ją było stamtąd wydostać.

— Nie jestem dziś w sentymentalnem usposobieniu—rzekła z grymasem, ziewając;— nudzisz mnie dzisiaj. Taki jesteś szablonowy!

Księżę nie tak łatwo dał się zbić z tropu.

— Dopiero zaczynałem cię bawić, a ty tak lekkomyślnie przedwcześnie mnie potępiasz. Daj tylko rękę... zobaczysz, tak ją ucałuję, jak jeszcze nigdy. To będzie coś tak ciekawego i zajmującego, że o nudach zapomnisz i o więcej poprosisz.

— Ach! taki długi frazes! I o co? O pocałowanie ręki! Ach! jakież to banalne! Robisz się niemożliwie sentymentalnym. Wolalabym,

żebyś mi co przykrego powiedział za to, że ziewam w twojej obecności. Przynajmniej można by się rozśmiać. Ach! to byłoby bardzo zabawne! Jakieś grube słowo na ustach człowieka, tak jak ty, cywilizowanego *par excellence*.

— Proszę cię, naucz mnie kilku frazesów *fin de siècle*. Zobaczysz, jaki pojętny uczeń będzie ze mnie.

— Po co? Pewno w emablowaniu Maryi użytku z nich robić nie będziesz.

Księżę tryumfująco się uśmiechnął—już zrozumiał powód złego humoru pani Ireny. Zazdrość jej wielce mu pochlebiała.

— Cha! cha!—zaśmiał się—pozwól sobie powiedzieć, Ireno, że jesteś zachwycająco najwnę. Nie, to zbyt niedorzeczne bać się współzawodnictwa takiej przeciętnej, jak Marya, dziewczynki. Czyż można mieć dla kogoś czy wobec ciebie, przed którą, tak jak ja teraz, wszyscy na kolana padać powinni. No, rozjaśnij się. Już teraz nie proszę, ale każę uśmiechnąć się do mnie. Rozkaz, dawany na klęczkach! Czy ci się to nie podoba?

Mówiąc to, księżę przyklęknął na jedno kolano. Stoliczek z łatwością usunąć już było można i... pani Irena łaskawszą, niż przed chwilą, okazała się względem księcia, który ciągle na klęczkach, a pani Irena nachylona

ku niemu, zapomnieli, że ktokolwiek do salonu lada chwila wejść może. Przecież trzeba należycie pogodzić się i przeprosić, a dla takich przeprosin warto nawet posprzeczać się czasem. Wtem... portyera się podniosła i w progu ukazali się Jazłowiecki i Karol Jedliński z powrotem z przedpokoju.

Karol ledwie z radości skakać nie zaczął.

— A! nareszcie was mam, ptaszki! — pomyślał sobie — złapałem was w końcu na gorącym uczynku!

Przez twarz pani Ireny płomienie przeszły; zrobiła w pierwszej chwili ruch nerwowy, gwałtowny, jakby uciekać chciała. Ale nagle pogardliwie się uśmiechnęła, lekceważąco wzruszyła ramionami i w miejscu pozostała. Co tam! Jej wszystko obojętne. Jej nic doścignąć nie może, bo ona się śmieje ze wszystkiego. Niech ci panowie wykręcą się z trudnego położenia, jak umięją; dla niej to będzie widowiskiem, komedią. Zabawi się — choć tyle wygranej. Więcej zajmujące takie zakończenie ich serdeczniejszej rozmowy, aniżeli sama rozmowa.

Przykre zakłopotanie i milczenie nie trwało dłużej nad sekund kilka. Księżę, z właściwą sobie, niczem niezamąconą pewnością sie-

bie, spokojnie, bez pośpiechu powstał, a zbliżając się do przybyłych, rzekł ze swobodą:

— Prezentuję się wam jako szczęśliwy narzeczony panny Krzyckiej. Pani Irena była naszym swatem i właśnie przed chwilą oznajmiła mi przychylną odpowiedź. Za taką szczęśliwą nowinę na klęczkach aż dziękowałem. Wyście mi przeszkodzili w samym środku najpiękniejszego dziękczynnego frazesu.

Na razie odpowiedzi nie było. Wszyscy szeroko oczy roztworzyli, pani Irena lekceważąco ramionami poruszyła, a złośliwy, gorzki uśmiech w kąci ust jej się wsunął. W tej chwili twarz jej niczem Madonny nie przypominała. Jednak po mistrzowsku grana przez księcia komedia bawiła ją. Mniejsza o następstwa — to przecież nowe wrażenie, trochę interesu wzbudza, a bez nowych wrażeń tak nudno!

Wszyscy, dla konwenansu, twarze swe do uprzejmego, banalnego składali uśmiechu. O myśli nikt nie pytał i nikt się też z niemi nie zdradzał.

— Winszujemy, winszujemy! — odezwali się obydwaj przybyli, gdy wysłuchali oznajmienia księcia.

— Miło nam będzie kuzynem naszym nazwać księcia — rzekł Jazłowiecki, rękę mu podając.

Na obojętnej twarzy Jazłowieckiego żadne wrażenie widocznem nie było. Porozmawiawszy chwilę z księciem o jego nowym projekcie, zajął się wyłącznie przeglądaniem numizmatów w jakiejś cennej chińskiej szkatułce; porównywując je z niektórymi fałszowanymi sztukami, zdawał się o otoczeniu zupełnie zapominać.

— Ale, moi panowie—rzekła pani Irena,—Marya bardzo prosiła, żeby jeszcze przez parę dni nikt o jej narzeczeństwie nie wiedział. Proszę was, udawajcie, jakbyście się niczego nie domyślali.

Obiecano milczenie w tym względzie. Reszta wieczora zwykłym trybem przeszła; wszyscy zdawali się być zadowoleni z takiego obrotu rzeczy, o drażliwej sytuacji prawie że zapomniano. Czyż warto myśleć? Pozory, zręcznie przez księcia wymyślane, od skandalu uchroniły—czegoż więcej żądać? Kto umie i ma trochę zimnej krwi i przytomności, pozorami zawsze zasłonić się potrafi. Dewiza tego wieku: „Precz ze skandalem!“ Jakkolwiek omijać go trzeba! To niegodne dobrze wychowanego, cywilizowanego człowieka. Pozory ratować, a ominie się ten szkopał obyczajowy i towarzyski, skandal trywialny i oklepany. Mniejsza o resztę, mniejsza o to, co pod tymi pozora-

rami kryć się może,—mniejsza, czem one okupione bywają,—czy kto inny na tem ucierpi co, lub straci. Tamten, kto był narzędziem, ma także swoją własną głowę na karku—niech się sam, jak umie i może, wykręca i urządza. Kto zręczniejszy, tego wygrana!

*

*

*

Nazajutrz przez cały dzień tak się jakoś złożyło, że pani Irena sam na sam z księciem rozmówić się nie mogła. Gdy wieczór nadszedł, wszyscy na oznaczone miejsce do lasu pojechali. Michał Jedliński z zapalonymi chróstami i rozstawionymi różnokolorowymi bengalskimi ogniami czekał na przybyłych. Z daleka jasna luna wskazywała drogę do polanki; migając coraz to innemi barwami, wabiła ludzi z okolicznych wiosek. Ogień płonął i iskrami pryskał, kolorowe bengalskie płomyki bogactwem barw i światła oczy olśniewały, las coraz to inny przybierał charakter. Raz, jakby się krwią zalał, lub królewską przywdział purpurę na dzień tak uroczysty i wesół. To znów się zdaje, że listek każdy złoto sączy, a od tego złota tyle blasku, jakby morze jego całe u stóp się rozlało, lub niebieski, delikatny płomyczek jakby srebrem lub siwizną poproszył

wierzchołki poważnych dębów i sosen, nieruchomych w tę noc letnią, gwiazdzistą i spokojną, jakby naumyślnie zesłaną dla zabawy, uciechy, szczęścia i wesołości.

— Ognie na waszą cześć od dawna już płoną, a wy, jak prawdziwe boginie, kazałyście długo na siebie czekać—rzekł Michał wesoło, pomagając pani Irenie i Maryi wysiąść z powozu.

Ludu znaczna ilość zebrana już była. Muzyka, przez Jazłowieckiego sprowadzona, ukryta wśród drzew, wesoło przygrywała. Nasi znajomi w pewnej odległości zabawie się przyglądali.

Ale to nie zadawałniało Karola Jadlińskiego. Widzieć drugich tańczących, a samemu nie tańczyć—to zbyt głupie położenie. A że stał koło pani Ireny, więc nie pytając się nawet o pozwolenie, wirować z nią zaczął wkoło ognia. Na wolnem powietrzu ruchy są żywsze i elastyczniejsze, aromat lasu upaja, muzyka i fantastyczne blaski, na tajemniczem, ciemnem tle gęstwiny, rozmarzają i czarodziejską otaczają atmosferą. Pani Irena nie wiedziała, czy tańczy po ziemi, czy w powietrzu szybuje, czy śni o tym szalonym, zawrotnym wirze.

Marya, z powodu bolącej ręki, tańczyć jeszcze nie chciała, Jazłowiecki i Michał wie-

śniaczkami zadowolnić się musieli, a książę wygodnie usiadł obok Maryi i zapalił papierosa.

— Szczególne amatorstwo po trawie tańczyć!—rzekł.—Mnie, na posadzce i ze strumieniami szampańskiego, ruszyćby się nawet nie chciało. Jestem od nich fizycznie i moralnie przynajmniej o lat dwieście starszy.

Książę urwał, uśmiechnął się—przyszło mu na myśl, że to wcale niezachęcająca rozmowa z tą niby narzeczoną do starości się przyznawać. Trzeba się na inny przerzucić temat, a tę małą dalej studyować.

— Czemu się pani za pień drzewa kryje? W kolorowem oświetleniu bardzo pani jest do twarzy. Niech się pani przesiądzie na tamtą stronę, proszę, bardzo proszę zrobić to dla mnie, dla mojej przyjemności—i książę z drugiej strony drzewa na mchu szal rozłożył.

— Jeżeli światło ma mnie upiększyć, to ja się tam zaraz jak najprędzej przesiądę—odrzekła ze śmiechem;—jestem kobietą, więc dbać muszę o mój wygląd korzystny.

— O! to, to lubię... głośno do wszystkiego się przyznawać. Ale czy naprawdę dba pani tak o to i wie, w czym jej do twarzy albo nie? Kto panią tego nauczył?

— Kto mnie tego nauczył? Mój własny domysł. Zresztą z twarzy każdego tak łatwo wyczytać można, czy coś mu się podoba lub nie, jakie wrażenie się wywiera... i tych spostrzeżeń później najlepiej się trzymać. Na pewno powiedzieć mogę, że w tem niebieskiem oświetleniu podobam się teraz księciu. A co? czy nieposłuszną teraz byłam? Usiadłam, gdzie ksiązę sobie życzył.

— W każdym oświetleniu i zawsze jest pani do twarzy.

W wykrzykniku tym szczerości nie brakowało.

Otwartość Maryi była zachwycającą, takiej mimowolnej kokieteryi codziennie się nie spotyka.

— A czy wie pani, że to bardzo brzydko do chęci podobania przyznawać się tak głośno? W świecie jest taki zwyczaj, że to wadą nazywanem bywa... choć ręczę, że żadna z pań nigdy się z niej nie spowiada.

— Ja nie chcę być hipokrytką, przedstawiać się inną, aniżeli jestem. A zresztą, czyż to co złego chcieć zawsze ładnie wyglądać? To tak przyjemnie widzieć, że się na kimś korzystne wywiera wrażenie! Ręczę, że tak każdy myśli. Po cóż się więc tego zapierać? Po co ta komedia, w którą nikt nie wierzy?

— Jednak, jak pani za mąż pójdzie, mąż chyba nie bardzo będzie rad temu, gdy pani wszystkim koniecznie podobać się będzie chciała.

— O! on tylko na tem dobrze wyjdzie, bo całą moją chęć podobania się ku niemu tylko zwrócę. Już wtedy inni przestaną dla mnie istnieć. To chyba niewielkie nieszczęście mieć taką żonę, która tylko myśli o podobaniu się mężowi.

— Los męża pani będzie godnym zazdrości, ale tylko wtedy, jeżeli go pani kochać będzie.

— Gdy się nie kocha, za mąż się nie wychodzi. Takie małżeństwo to znowu jedna z tych światowych komedyi, których celu nie pojmuję. Podług mnie, wszelka komedia, oszukiwanie siebie, drugich... pogardy jest godne.

Ksiązę spoważniał.

— Ja już dużo na świecie przeżyłem i widziałem — rzekł; — niech pani zawierzy memu zdaniu. Jeżeli się pani zawsze będzie mężowi podobać chciała, zawsze pani kochaną będzie. A miłość, wcześniej czy później, musi wywołać wzajemność. O, tak! bardzo kochaną pani być może. Tylko niech pani zawsze ma gotowe takie śliczne uśmiechy, jak przed chwilą, gdym

panią o zmianę miejsca prosił, i uległą zawsze będzie, a tylko na przykrości i zawody hartowną jak stal, przez lzy się uśmiecha, lub usta zaciska i nic nie mówi. A przedewszystkiem niech pani według ksiązek życia nie sądzi. Odrobinę mniej logiki... to nie kobieca specjalność, jak również i surowość względem drugich. Z niedorzecznością na ustach więcej paniom do twarzy, niż z surowym, choćby nawet słusznym frazesem. Kobiety tylko o podobaniu się myśleć powinny. To ich posłannictwo wśród świata, niech mi pani wierzy. Wtedy są najszczęśliwsze, to ich żywioł. Pani twierdzi, że tylko o podobanie się mężowi po ślubie starać się powinny; ja także jestem w zupełności tego zdania. Tylko mąż, poza tem nic. Tylko, że każdy z nich ma inne gusta, inaczej podobanie pojmuje. Cała sztuka w tem, jak trafić do tych jego upodobań i gustów. Najpewniejsza do tego droga: według niego samego się kierować, we wszystkim się stosować do jego woli i zachcianek, myśli zgadywać, w oczy tak patrzeć, jak tylko kochające istoty patrzeć umieją. Nawiasem mówiąc, paniby to tak ślicznie robić potrafiła! A on tylko tego żądać może, co mu się najlepiej podoba i dogadza, więc i żona taka, uległa, jego myślami i chęciami tylko żyjąca, będzie dla niego ideałem i zawsze podobać się musi.

— Cha! cha! cha! — Marya wesoło się zaśmiała — biednym kobietom książkę zupełnie człowieczeństwa odmawia, jeżeli mają być tylko bawidelkiem, za jedyny cel życia podobanie tylko mając. Myśl o podobaniu... to dobre i przyjemne, ale chyba tylko w antraktach między obowiązkami i dążnościami więcej realnemi i poważnemi.

— Ach! Pani jest niepoprawna! Człowieczeństwo, cel życia, obowiązki... to jakąś filozoficzną rozprawę przypomina. Pani mnie źle rozumiała. Ja kobiety wyżej niż nas mężczyzn, zwyczajnych śmiertelników, stawiam. One są kwiatami ludzkości... a czy kwiaty, do jakichś rozumem wykombinowanych realnych i praktycznych celów używanymi bywają? One są po to, by barwami zachwycaly, zapachem odurzając, rozmarzały. Tylko dla tych zalet w cieplarniach pielęgnowanymi bywają, jako tryumf sztuki i natury. Kwiatami tylko zdobić wszystko można, ale żaden najmądrzejszy filozof nic z nich zrobić nie potrafi. Kobiety są w świecie do odgrywania roli kwiatów powołane. Ta rola daje im najwięcej uroku i potęgi. Z żelaza buduje się koleje i okręty, jednak gdyby mi kawałek niego do wody upadł, nie sięgnąłbym na dno, żeby go wydobyć. Lecz gdybym ujrzał piękny kwiat, na mocza-

rach lub wśród kolców rosnący, nie zważałbym na przeszkody, ale musiałbym go zerwać i... i... panibym go ofiarował.

— Zręczny paradoks to całe rozumowanie—odrzekła Marya, — pięknie bardzo brzmi w takim czarodziejskim otoczeniu, wśród lasu, w noc letnią, przy muzyce i fantastycznym blasku gwiazd i sztucznych ogni, ale przy świetle dziennem teoria księcia urokby straciła, a o stosowaniu jej w życiu mowy być nawet nie może.

Płomień migotał, różnobarwne blaski po twarzy Maryi się przesuwały. Księżę jej z coraz większem przyglądał się zajęciem. Tuż koło niej na trawie siedząc, studyował skład ręki, nogi i całej figury, a widać było z dobrego humoru, że z przeglądu swego był zadowolony.

— Chodźmy przeszkodzić gruchaniu tej zakochanej pary — rzekł Karol Jedliński do pani Ireny, wskazując na Maryę i księcia Jarosława, gdy w tańcu przystanęli. — Wyglądają tak w sobie zatopieni!. Niema nic zabawniejszego, jak para narzeczonych.

Pani Irena przez chwilę na nich popatrzyła, a później szarpiąc niecierpliwie gałęzie rosnącego blisko krzaku, rzekła z jakimś dziwnym uśmiechem, niepozabawionym pewnej goryczy:

— Czy się nudzisz ze mną?... bo ja z tobą jeszcze nie. Dorzucmy do ognia jeszcze trochę suchych gałęzi—i z pośpiechem, jakby chciała uciec od jakiejś myśli, biegła wśród drzew i krzaków, podnosiła chrósty, na ognisko je rzucając.

Karol nic nie mówił, tylko jej się ciekawie przypatrywał. Czyżby się z księciem poróżniła? Czyżby on rzeczywiście o Maryę się oświadczył? Jak się nareszcie ta komedia zakończy? Odpowiedzi znaleźć nie mógł. To tylko było łatwe do kombinowania, że jeżeli w gustach pani Ireny posada zawakowała, trzeba w zajęciu jej nikomu nie dać się wyprzedzić.

— Nie profanuj twoich ślicznych rączek tymi kolczastymi gałęziami — rzekł, przysuwając się.—To nie na ich siłę. Lepiej potańczmy jeszcze trochę, lub przejdźmy się po polance.

— Dobrze, potańczmy, ale strasznie, strasznie prędko... tak, jak z początku. To tak przyjemnie pędzić, jak powietrze wkoło uszów szumi, na myśl nawet żadną czasu niema!

— Dobrze, jak chcesz.

I tańczyć zaczęli. Krąg coraz dalszy wkoło ognia zataczali; krzaki, rosnące przy polance, po nogach ich muskały, a od czasu do czasu pani Irena czuła, że ziemi nie dotyka, że

ramiona silne i twarde, jak żelazne obręcze, coraz mocniej ją ściskają i w górę podnoszą, jakby listkiem była, bez wysiłku i natężenia, w takt za muzyką, przed każdą przeszkodą, żeby jej nogi od zetknięcia się z krzakiem lub nierównością gruntu uchronić. Wszystko wkoło migąło, nie miało czasu oznaczonych przybierać kształtów, tylko wyraźną przed oczami jej stała twarz Karola Jedlińskiego, promieniejąca młodością i urodą, uśmiechnięta do niej i do szczęścia, z błyszczącymi, czarnymi jak węgle oczyma, w nią zapatrzonymi. Ta siła wzroku i mięśni, dla których ona pyłkiem być się zdawała, miała coś odurzającego w sobie... Tak tańczyć można choćby w nieskończoność. Ogień dogasał, lud rozchodzić się zaczynał; nasi znajomi zgrupowali się wkoło drzewa, pod którem siedziała Marya.

— O powrocie myśleć nam już chyba trzeba—ozwał się Jazłowiecki, podnosząc z ziemi porozrzucone rękawiczki i szale.

Pani Irena, głęboko ze zmęczenia oddychając, okrywała się jednym z nich. Marya niechętnie z ziemi powstała, niezadowolona, że z Michałem poufnie porozmawiać nie mogła, gdyż książe ani na krok jej nie odstąpił.

— Tak długo słyszeć cię nie będziemy!... zaśpiewaj nam co, Michasiu, na pożegnanie.

W głosie Maryi tyle było prośby, że Michał, choć zmęczony, odmówić nie umiał.

— O, tak! zaśpiewaj, koniecznie zaśpiewaj—dodała pani Irena;—my tymczasem wolno w stronę powozów iść będziemy.

Wszyscy się poruszyli. Michał podał rękę Maryi, książe Jarosław pani Irenie—i idąc w ciemności ledwo dostrzegalną ścieżką, słuchano śpiewu Michała. Głuszono kroki, by szmer żaden ze świata fizycznego nie zakłócał tej niebiańskiej melodyi. Głos górował nad lasem i przestrzenią, dęby i sosny echa jego powtarzały. Płynął potężny, bez przeszkód—zapory żadnej nie miał. Nie szamotał się wśród czterech ścian koncertowej sali—płynął, a oparcie na gwiazdach znaleźć mógł tylko. Nie było lamp i świateł, któreby ruchy ust i śpiewaka zdradzały—nic, tylko ciemność, z jakimś niewyraźnym, srebrnym połyskiem, i ten głos potężny, nie wiedzieć skąd, jakby z nieba płynący. Nie było banalnych oklasków, irytujących szmerów sukien, krzeseł i wachlarzy—nic, tylko ten głos piękny, z piękną naturą w zgodnym akordzie.

Gdy skończył, nikt nie chwalił, bo odpowiednich słów pochwały nikt znaleźć nie umiał.

— Trzeba było mniej pięknie dzisiaj nam zaśpiewać—rzekła Marya.—Na ostatek tak nas zachwyciłeś, że tem więcej jeszcze żałować cię będziemy.

— A właśnie ja przeciwnie rozumowałem sobie. Jeżeli na długo rozłączyć się mamy, to trzeba, by ten pożegnalny śpiew był taki piękny, żeby jego wspomnienie na długo wystarczyć mogło. Nie, nie chciałbym nigdy—dodał po chwili zamyślenia — gorzej niż dzisiaj śpiewać. Chciałem jak najpiękniejsze pozostawić ci po sobie wspomnienie. Kto wie... już mnie może nigdy nie usłyszysz. Nie znamy przyszłości.

— O! na co takie smutne rzeczy przewidywać! — przerwała Marya — lepiej mówmy o czemś weselszem. Powiedz mi, czy bardzo cieszyć się będziesz, kiedy już na zawsze do Jedlińska powrócisz?

— O, tak! Ale tylko wtedy, jeżeli ciebie znajdę taką samą, jaką cię dzisiaj zostawiam.

— Czyż wątpisz o mnie? Czy myślisz, że ja już dla ciebie zmienić się lub zapomnieć potrafię? Bądź spokojny, nigdy... nigdy!

— Dobrze. Jak wrócę, przypomnę ci te słowa. Pamiętaj, żeś obiecała nigdy nie zapominać o mnie.

Dłużej z sobą rozmawiać nie mogli. Przy ostatnich słowach Maryi znalazł się książę Jarosław, który prowadził panią Irenę, i w ogólnej rozmowie przyjąć udział musieli. Gdy się przy powozach znalaziono, żegnać się zaczęto.

— A jak na zimę do Berlina przyjedziemy, proszę o nas nie zapominać—mówiła pani Irena do Jedlińskiego;—a książę teraz niech też wpadnie czasem... przecież to tak blisko.

— Do widzenia! Do widzenia!—wołano jeszcze z oddalających się powozów.

Michał Jedliński jechał konno. Galopując, wyprzedził brata i o kilkanaście minut wcześniej znalazł się w Jedlińsku. Był w świetnym humorze, wesół i szczęśliwy, prawie pewny, że Marya go kocha. Jakże lekkimi będą teraz te parę lat walki o złoto, oczekiwania w pewności, że szczęście już czeka z wyciągniętemi ku niemu ramionami, że potem będzie wieczne wesele, wieczna radość serca i myśli, wieczne zgodne odczucie dobra i piękna, wieczny spokój, wypełniony miłością i śpiewaniem.

Michał żywo po pokoju chodził. Niecierpliwie uchem śledził zbliżający się turkot powozu; chciał z bratem poufnie i serdecznie pogawędzić trochę.

— A! jesteś? Jeszcze nie odszedłeś do siebie?—wchodząc, rzekł Karol do brata.—Bardzo rad z tego, bo ci mam coś bardzo zabawnego do opowiedzenia. Wyobraź sobie, że Marya, tak ni stąd, ni zowąd, stała się narzeczoną księcia.

— Co???! Narzeczoną księcia?! Żartujesz chyba?

Michał patrzył osłupiały, jakby zmieszanych myśli pochwycić nie mógł.

— Najszersza prawda, mój drogi. Marya jest narzeczoną księcia. Posłuchaj tylko, w jaki sposób to się stało. To arcy-zabawna historia...

Ale Karol mówić przestał, gdyż nie miał do kogo. Michała w pokoju już nie było.

— Zmartwił się biedak — rzekł sam do siebie.—Trzeba go lepiej zostawić, prędzej się uspokoi. Ale przynajmniej z niepotrzebnych uleczyć się mrzonek...

I Karol Jedliński, kontent z całego obrotu rzeczy, spać się położył.

*

*

*

„Narzeczoną księcia!“ Michał wybiegł z pokoju, bo w czterech ścianach za duszno mu było. Powietrza mu brak, a usta chwytać nie chcą. Marya narzeczoną księcia!—powtarzał

sobie machinalnie,—a on, naiwny, myślał, że te jasne, pogodne oczy kłamać nie umieją, że łyżki, które w nich przy pożegnaniu widział, to najpewniejsza, najtrwalsza przysięga! A tymczasem ona tylko lepiej od innych komedję grać umiała. Zabawić się chciała jego uczuciem, a na dźwięk milionów i tytułu rzuca się w objęcia przeżytego rozpustnika! Czyżby każde kochanie, każde marzenie o szczęściu taką karykaturą uczuć z człowieka zawsze zadrwiło? On w myśli o niej połączył wszystko, co tylko miał w sobie szlachetnego i dobrego; w niej widział uosobienie tego idealnego łącznika między niebem i ziemią, który dążąc ku górze, ku celom pięknym i wzniosłym, stopami dotyka ziemi, uszlachetnia ją i życie na niej znosnym czyni. Więc tylko w jego wyobraźni Marya taką była? Czyżby takie łączniki na świecie nie istniały? Czyżby tylko niskie zwierzęce instynkta zaspokojenie znaleźć mogły? Czemż więc natura w sercu i umyśle jego złożyła to wieczne dążenie do harmonii dobra i piękna—a on, jakby przez ironię, same tylko dysonanse w świecie napotyka? Ukochał ziemię swojską, oddać obcym jej nie chce,—mówią, że nikczemny. Ukochał kobietę, myślał, że dobra i kochająca,—a ona za tytuł i miliony innejmu się sprzedaje! Jeszcze pewno nie jeden taki

dysonans i rozczarowanie życie ma dla niego w zapasie. Czy warto żyć po to tylko, by nie mi serce i duszę rozdzierać? Po co ten trud, gonić nieuchwytny miraż piękna i dobra, zachwycać się jego barwami, a który, gdy się go dotknąć, ulatuje, lub błota trochę na ręku zostawia? Nie warto żyć—życie jest podłe i płaskie, niema w niem harmonii pięknej formy z piękną myślą i uczuciem. Michał mimowoli, nie patrząc, gdzie idzie, znalazł się nad jeziorem. Majestatycznie spokojne, zachwycało tajemniczością nurtów i srebrnym połyskiem odbijającego się nieba. Michał nie mógł oczów od wody oderwać. Te nurty zawsze są gotowe przyjąć go w swoje objęcia. Nie zdradzą, nie odepchną, dadzą zapomnienie i spokój, nie wyszydzą jego marzeń, szumem do wiecznego snu zawsze piękne, bez dysonansu pieśni śpiewać będą, tak, jak on im niegdyś śpiewał. Gdy zechce, uwolnią ducha z ziemskich kajdanów—jeden tylko krok, a wszystko się skończy i cierpień już nie będzie. Jakby jakaś niewidzialna ręka do wody go pchała. Stał w nią zapatrzony—cofnąć się nie chciał, a i ostatniego jeszcze nie dawał kroku. Tak... już jest zdecydowany—utopi się, skróci to życie, które dla niego już cały urok swój straciło. Ale zanim do wody się rzuci, jeszcze

raz spojrzy na to otoczenie, które tak ukochał, na dom, w którym się urodził, na drzewa parku, wśród których snuł złote marzenia i melodye. Spojrzał, a cały świat czarodziejski młodocianych mrzonek stanął mu przed oczami. Marzenia... Dokądże go one doprowadziły? Rozbudził je w tem czarodziejskiem, cichem ustroniu, tu wysnuł w swej wyobraźni świat taki piękny i szlachetny w poczuciach i miłości. Artysta w tonach i dążeniach, chciał, by wszystko artystycznie piękne i harmonijne przybierało kształty. A jakież to są cierpienia, których znieść nie może? Zawód w miłości i marzeniach. A czyż po za miłością kobiety inne cele życia nie istnieją? Czy po za powierzchownym sądem świata, który często niesprawiedliwie potępia, własne sumienie nie istnieje? Michał prędkimi krokami chodził po alejach, wijących się naokoło jeziora. Godziny biegły jedna za drugą, a on chodzić nie przestawał. Po co on się chciał utopić?—powtarzał sobie.—Dlatego, że jedna płocha dziewczyna podstępem do serca mu się zakradła i niemiłosiernie niem szarpnęła? Czy dlatego, że jedna zgrzybiała, prawie zdziecinniała kobieta podłym go nazwała tylko dlatego, że pojąć go nie umie? A czyż on nie ma ziemi, ojcowizny i sztuki, które kocha nadewszystko?

One wystarczyć i dać mu szczęście powinny. Zapomni o tej kokietce, zapomni o niesprawiedliwych sądach ludzkich—jest mężczyzną, tyle siły woli znaleźć musi.

Michał ciągle w zamyśleniu chodził po ogrodzie. Od jeziora oczy odwracał, by mu chwili słabości nie przypominało. Powietrze się bardzo oziębiło, ranek świtać zaczynał. Gdy silny dreszcz Michałem wstrząsnął, dopiero się spostrzegł, jak długo po ogrodzie chodził, i skierował się ku domowi. Był jakby ze snu zbudzony, trząśnięty od zimna i wzruszenia; zauważył, że go gardło silnie boli, a jakieś niemiłe klócie w piersiach oddech utrudnia. Przyszedł do swego pokoju i do łóżka się położył. Jednak usnąć nie mógł—głowa silnie boleć go zaczęła, a ból gardła i piersi z każdą prawie minutą silniejszym się stawał.

— Zaziębiłem się, będąc całą noc na chłodzie — mówił sam do siebie, a niemoc go coraz większa ogarniała, że już dnia tego ruszyć się z łóżka nie mógł.

Sprowadzony doktor oświadczył, że z powodu bardzo silnego zaziębnienia wywiązało się zapalenie płuc i gardło niebezpiecznie zaatakowanym zostało, i że kilka tygodni bar-

dzo starannej pielęgnacyi zdrowie Michałowi Jedlińskiemu powrócić dopiero może.

* * *

Na drugi dzień po powrocie z Żeromina ksiązę Jarosław w południowych godzinach siedział w swojej bibliotece. Bujał się niedbale w biegunowym fotelu, a rozrzucone w nieladzie gazety i listy niewiele w nim widocznie wzbudzały zajęcie. Bujał się z głową w tył odrzuconą, oczy przymrużył i coraz gęstszym obłokami dymu zasnuwał się wokoło. Mimo-woli spojrział na kominek i otomanę, na której Marya Krzycka, podczas swojej u niego bytności, odpoczywała po powrocie z ogrodu i po doznanych wrażeniach. Od tego dnia często na myśl mu powracała; ile razy spojrział na otomanę, wyobraźnia jego rysowała na niej delikatny kontur malej istotki, jakby tam zgubionej, i już ten obraz nie chciał tak prędko z myśli ustępować.

Ksiązę był zamyślony.

— Fatalność jakaś chyba mnie ściga — myślał.—Skąd mi naraz ta myśl przyszła, żeby się Maryą Krzycką przed skandalem zasłonić? A z tego wypada, że będę musiał się z nią ożenić! Cha! cha! Ożenić się z osiemnastoletnią

dziewczyną! Ja! W czterdziestym piątym roku życia! A Irena?... — i w myśli księcia, jak w kalejdoskopie, dwie kobiece twarze na przemian występowały. — Jednak... hm, hm!.. ta mała na żonę... to jeszcze niewielkie byłoby nieszczęście. Gdyby mi kto kazał koniecznie się żenić i wybierać wśród całego stada panien na wydaniu, nie inną, tylko tę wziąłbym. A może to nawet szczęśliwie dla mnie będzie? Kto wie... osiemnaście lat, powierzchowność taka dziwnie sympatyczna i przyciągająca, jak się rzadko spotyka... I takie stworzenie mieć zawsze przy sobie... w zależności kompletnej... Może to jakiś dobry geniusz tę myśl mi podsunął...

Jakiś gorący płomyk przebiegł po żyłach księcia, gość dawno niebywały, zabłąkany chyba z czasów dawnej młodości.

A Irena?... Może trzeba będzie z nią zerwać wszystkie dotychczasowe serdeczniejsze stosunki? Jedno albo drugie. Trzeba wybierać... Trudny wybór. Najlepiej byłoby mieć jedną i drugą. Tę jako żonę, tamtą jako rozmałość. Przecież to nic łatwiejszego, jak ułożenie takiego stosunku. Będzie należał do rodziny — to jedno uratuje już wszelkie skrupuły i pozory względem świata. Marya w rachubę nie wchodzi. Nie jest bogatą, będzie w zupełnej od niego zależności. Zresztą to jeszcze surowy

materyał, któremu on dopiero, według swej woli, kształt i formę nada. A ten kształt i forma będą takimi, jakie on dla siebie uzna za najdogodniejsze. Ireny stałości pewnym jest. Te dwie kobiety, tak różne od siebie moralnie i fizycznie, są swoim idealnym wzajemnym dopełnieniem. Czego jednej brakuje, u drugiej znajdzie. Posiadając je obydwie, będzie miał różnorodne i rozmaite wrażenia, bo każda w inny sposób na jego nerwy oddziaływa. Nie znudzi się, a one dobrze wyjdą na tem. Stałości jego większa będzie rękojmia. Każda z nich osobno — musiałaby mu się znudzić w końcu... Obydwie razem — uchronią się od monotonii. Gdy go jedna sobą dosyć ubawi, pójdzie do drugiej po inne wrażenia; a gdy te przesycą i tamte zatrą dostatecznie, więc powróci do pierwszych z nowem zajęciem. Takie łatwe, dogodne szczęście samo mu do rąk wchodzi. Czyż on się nie może nazwać szczęśliwym, ale też zarazem i genialnym!

Księżę ciągle bujał się zwolna. Z przy-mrużonemi oczyma snuł złotą nić marzeń o tem rozkosznem życiu we troje — bo tak we dwoje, t. j. z miłością samej pani Ireny tylko, już mu się trochę nudzić zaczynało.

Ale teraz zupełnie będzie co innego. I, na samą myśl tego urozmaiconego stosunku, pani

Irena w żywszych i piękniejszych ukazywała mu się barwach. W tej chwili pod oknem coś zaszeleściało; książe się obejrzał i z okrzykiem radości zerwał się z siedzenia. Z głową wsuniętą do pokoju, w amazonce, ze szpicrutą w rękę, stała pani Irena.

— Irena!? tutaj!???

— A tak. Ja sama. A na dowód, że duchem nie jestem, proszę mi podać rękę, żebym się mogła dostać do pokoju.

Pani Irena stanęła na oknie i stamtąd na podłogę zeskoczyła. Wyglądała piękniej niż zwykle. Od wiatru zarumieniona, w opiętej amazonce z niedbale odrzuconym trenem, zdawała się smuklejszą i wyższą niż zazwyczaj. Stała na środku pokoju i śmiała się ze zdziwienia księcia.

— Ach! jak to zabawnie tak komu z nie-nacka oknem wlecieć! Jak czarownica! Nikt nie wie, że ja tu jestem. Konia w parku uwiązałam, a samam się pod oknami czała, dopókim księcia nie znalazła.

— Jakżem szczęśliwy! Doprawdy, nigdym się takiego szczęścia nie spodziewał!

— Ale czy tu aby nikt nie wejdzie?— rzekła, oglądając się z niepokojem.— Trzeba drzwi wszystkie na klucz zamknąć.

Książe pośpieszył spełnić rozkaz, tymczasem pani Irena na otomanie obok kominka usiadła. Książe doznał jakiegoś nieokreślonego uczucia niezadowolenia. Pani Irena spłoszyła stamtąd inne wspomnienie, zdawała się natrętnie wkraczać w inną, nie swoją krainę. Jednak, gdy spojrzął na nią, zapomniał, że ktoś drugi po za nią istnieć może; siadł tuż obok niej, a ujmując za obydwie ręce, rzekł serdecznie:

— Pozwól mi przedewszystkiem podziękować sobie za te niespodziane odwiedziny.

Ale znikły rumieńce i uśmiech z twarzy pani Ireny. A wysuwając ręce z uścisku, rzekła poważnie:

— Niech książe siądzie tam, na tamtym fotelu koło stołu.

Słowo „książe“ wyraźnie zaakcentowanem było.

— Jak pani rozkaże.

— Przyjechałam tu naumyślnie—mówiła pani Irena,—żeby się móżdż dokładnie i obszernie rozmówić, co książe czynić zamierza po tem odezwaniu się do mojego męża, że jest narzeczonym Maryi.

— Niestety, jest tylko jeden punkt wyjścia: ożenić się z nią. Trzeba się poddać tej konieczności.

— Ale ja tego nie chcę! nie! Ja tego nie chcę! Ponieważ książe jest taki pomysłowy, umiał się wtedy tak zręcznie z trudnego położenia wykręcić, to proszę i teraz coś wymyślić na naprawienie tego głupstwa.

Książe skrzywił się nieznacznie.

— Na upartego, możnaby wszystko upozorować niby jakimś nieporozumieniem i zerwaniem — rzekł po namyśle. — Ale w takim razie, według zwyczaju, musiałbym wyjechać i zaprzestać odwiedzin w Żerominie. Mąż pani i Karol Jedliński nie są chyba tak naiwni, żeby uwierzyli całej tej komedii. Położenie nasze stałoby się nadzwyczaj trudne i drażliwe. Znając Karola, można być pewnym, że to wszystko na prawo i na lewo rozpowiadać będzie, naturalnie z rozmaitymi dodatkami swego własnego pomysłu. Przedstawi nas w roli operetkowych bohaterów, staniemy się śmiesznymi wobec świata. Dla mnie śmieszność gorszą jest od największego nieszczęścia. Wolalbym sobie w łeb palnąć, niż się na śmieszność wystawić. Gdybym był śmiesznym, kochałby mnie pani przestała. A więc gotów jestem na wszystko, na każde poświęcenie, nawet na ożenienie się z Maryą, byle się tylko uchronić od tej ostateczności. Bo, co prawda, zastanowiwszy się, my na tem nic nie stracimy.

Najpierw, nie będziemy potrzebowali kłopotać się z wydaniem jej za męż... i to coś znaczy. Karol Jedliński nie będzie już mógł plotek naszym robić kosztem. Sam fakt małżeństwa usta wszystkim zamknie. Zostaniemy kuzykami, zatem położenie będzie bardzo ułatwione. Będziemy się mogli widywać w każdej porze, tygodniami całymi przebywać u siebie. Taka perspektywa, mnie przynajmniej, uśmiechać się tylko może. Moja droga Ireno! — i książe naraz znalazł się na otomanie obok pani Ireny, która go już tym razem od siebie nie odpchnęła — moja droga Ireno, nie psujmy ostatecznego aktu tej komedii. Wierzaj mi, nam z takim urządzeniem dogodnie bardzo będzie. Chyba, że ci już jestem zupełnie obojętnym... w takim razie, jak zechcesz, udam zrozpaczonego, odtrąconego narzeczonego, odjadę, ale na zawsze, bo do powrotu pozoru i przyczyny już nie będzie.

— O, nie! nie! — zawołała pani Irena — zostań! Tylko się z nią nie żeń! Nie! Ja nie chcę, żebyś się z nią żenił! Nie!

— Ireno, moja droga! nie bądź dzieckiem! — odrzekł książe, starając się nadać głosowi ton najwięcej miękki i przekonujący. — Rozumuj troszeczkę, chociaż przez sekundę. Ja muszę się z nią ożenić, inaczej nie będę

mógł zostać i często widywać się z tobą. A zresztą, czyż to takie nieszczęście? To drobnostka, nad którą nie warto zastanawiać się nawet. Cóż to nam szkodzić może, że jakąś dziewczynkę, zamiast Maryą Krzycką, księżną Jarosławową ludzie nazywać będą?... że, zamiast mieszkać w Żerominie, do mnie się przeniesie? Nie będę potrzebował nawet wiedzieć o niej, nie wpłynę ona na żadną zmianę w moich przyzwyczajeniach. Jestem tak bogaty, że żona najmniejszej różnicy stanowić dla mnie nie może. Doprawdy, Ireno, nie warto nawet mówić o takiej drobnostce. To dzieciństwo do takich banalności przywiązywać tyle wagi.

— To nie dzieciństwo. Ty się do niej przywiążesz, jak ja się do niej przywiązałam... a dlaczego? sama nie wiem. Ona ma takie dziwne oczy, nigdy ich nie spuszcza. Takie oczy gdzieś na obrazku u jakiegoś anioła widziałam. Ona ciągle na ciebie patrzeć będzie, a ty o mnie zapomnisz. Ja ją kochać zaczęłam, kiedy się jej oczom bliżej przypatrzyłam.

Nie pomogły przysięgi i zaklęcia księcia, najczulszemi wyrażane słowy.

— Czy wiesz?—żywo pani Irena zawołała, gdyż wspomnienie Maryi, która dziwny na nią wywierała wpływ, rozegzaltowało ją bardzo — czy wiesz? Gdybym miała dzieci,

tobym ich więcej niż Maryi nie kochała! Ja-bym chciała, żeby ona szczęśliwą była, a i żebyś ty moim był tylko. Gdy się z nią ożenisz, a ona zrozumie swoje położenie, uczuje się bardzo nieszczęśliwą.

— Ręczę słowem honoru, bardzo dobrym będę dla niej.

— To jeszcze nie dosyć. Ona jest kobietą, nam trzeba miłości.

Powiedziawszy to, pani Irena zamyśliła się. Smutek po twarzy jej się rozlał i jakieś dziwne, nie takie, jak zwykle, uśmiechy przez usta jej mknęły. W myślach jej niespodziewany, nagły zwrot nastąpił.

— Mówisz, że nie można inaczej?... że trzeba tego dla ocalenia pozorów? — rzekła w zamyśleniu — a więc... ożeń się z nią. Przywiążesz się do niej. Z twoją miłością... jakaż ona będzie szczęśliwa! ach! jaka szczęśliwa! Moja droga Marya! — Pani Irena wspomnieniem Maryi coraz więcej się rozrzewniała. — Ja chcę jej szczęścia! A większego szczęścia życzyć jej nie mogę, bo większe już chyba nie istnieje. Tylko pamiętaj dobrym być dla niej, kochać ją... Łatwo ci to przyjdzie. A nie zdradź jej... Nie zniosłabym widoku jej łez i smutku. Wiedz, że ja ją tak kocham, że nawet z siebie jestem zdolną zrobić dla niej ofiarę, więc od tej

chwili wszystko między nami skończonem być musi. Ty ją jedną tylko kochać musisz. Ach! mnie tak o jej szczęście chodzi!

Książę z szeroko roztwartemi oczyma patrzył na panią Irenę i nie mógł wyjść z podziwienia, pomimo że był przyzwyczajony do jej fantastycznego charakteru. Skąd ta nagła zmiana? Przed chwilą płakała prawie na samo przypuszczenie jego odjazdu, pragnęła go mieć dla siebie niepodzielnie, a teraz odtrąca! I dlaczego? Niby przez przywiązanie dla tamtej! Czyż kobieta kobietę do tego stopnia kochać może? Prędzej każda inna, ale nigdy Irena. Ona nigdy nikogo nie kochała... On nawet był tylko jej kaprysem.

Pani Irena wstała. Książę nic nie mówił, tylko przyglądał jej się uporczywie. Usta jej się nie śmiały, twarz była blada, z oczów znikł blask zwykły i jakby się łzami zamąciły. A jednak piękniejszą była niż zazwyczaj; wyraz szlachetnego, jakby macierzyńskiego przywiązania w rysach jej gościł.

— Do widzenia!—rzekła. — Niech książę jutro na obiad do Żeromina przyjedzie. Dziś jeszcze pomówię z Maryą; jutro babci i wszystkim oznajmimy, żeście narzeczeni. Do widzenia, do jutra!—i mówiąc to, na oknie stanęła. Książę wziął za kapelusz. — Niech książę nie

wychodzi. Sama jedna łatwiej niepostrzeżenie do konia się dostanę.

I, nim książę przemówić coś zdołał, pani Irena skoczyła z okna i znikła wśród krzewów ogrodu.

Książę, sycząc przez zęby, wszystkich dyabłów na pomoc wezwał. Lecz żaden z nich nie przybył i nie wskazał, którą ścieżką pani Irena oddaliła się w głąb parku.

— Babska egzaltacya!—myślał sobie—za parę dni wszystko do zwykłego musi wrócić porządku.

Tymczasem pani Irena, równie niepostrzeżenie, jak przedtem, przez ogród przeszła, siadła na konia i ku Żerominowi się skierowała. Jechała dosyć wolno, zamysłona, jednak uśmiech zadowolenia znów się pojawił na jej twarzy, a wyraz smutku, który pod koniec rozmowy z księciem tak był widocznym, znikł zupełnie. Ona sama tym obrotem rzeczy bardzo była zdziwioną. Jechała tam, by obmyślić sposób dla uchronienia się od następstw powiedzianego przez księcia głupstwa, a tymczasem dała się przekonać, że małżeństwo to dla ratowania pozorów nastąpić musi. Jechała powiedzieć mu, że ona nawet dla formy nie da żadnej innej kobiecie pierwszeństwa w jego uczuciach, że chce go mieć zawsze dla siebie wyłącznie, bo nikt jej tak, jak on, zabawić

i zająć nie potrafi. A pani Irena swoich ulubionych zabawek dobrowolnie pozbywać się nie lubiła. Bawiła się niemi, dopóki jej nowych i przyjemnych wrażeń dostarczały, i mówiła sobie, że je kocha i że czuje się szczęśliwą. Czyżby o szczęście Maryi więcej, niż o nie wszystkie, dbała? Widocznie, że tak, bo jej najmilszą oddaje na samą myśl tylko, która jej nagle w bibliotece błysnęła, że jeżeli ta zabawka, t. j. książkę, o tyle ją samą zabawił i zajął, iż się przez to czuła szczęśliwą,—to Marya również szczęśliwą czuć się przy nim będzie. Niech więc ona będzie szczęśliwą! Niech go ma dla siebie wyłącznie. Onaby jej szczęścia odebrać nie potrafiła, ale przeciwnie—ona jej nawet swoje oddaje. Jakże to przyjemnie komuś drugiemu swoje szczęście oddać! Mile, rozkoszne, dotąd jej zupełnie nieznane uczucie, to coś zupełnie nowego! W pierwszej chwili postanowienia lzy jej się do oczów cisnęły, ale teraz zadowolona uśmiecha się. Droga, kochana Marya! Jaka ona będzie szczęśliwa! A szczęście otrzyma z jej ręki!

Pani Irena wciąż wolno jechała i zapytywała samej siebie, skąd jej przyszło tak prędko lubić tę obojętną przedtem, nieznaną sobie Maryę. Bawiła ją z początku swoimi surowymi i śmiałymi sądami, otwartością i wy-

powiadaniem każdej myśli. Potem pani Irenie na myśl przyszło, że ona jest jej jedyną opiekunką, że myśleć i zajmować się nią powinna. Gdy Maryę bolała ręka i ciągle czyjejs pomocy dla siebie potrzebowała, bawiło ją także odsyłać pannę służącą i pomagać Maryi w ubieraniu. Porządkowała jej drobnostki, a nie jedna godzina na swobodnej i wesołej schodziła im pogawędce. Dbała bardzo o jej dodatni wygląd, mniej ładnych sukien nosić nie pozwalała; a gdy Marya w południe bez kapelusza na słońce wyszła, pani Irena na seryo gniewać się zaczynała. Gdy były same, lubiła bardzo opowiadać jej różne wydarzenia i skandali światowe, a oburzenie Maryi niezmiernie ją też bawiło.

— Przyznaj sama, Ireno — mówiła jej dnia jednego,—mój ojciec miał słusność, powtarzając zawsze, że ludzie żyją kłamstwem i oszukiwaniem się wzajemnem; że nie kłamię i nie obłudny tylko jeden Bóg i natura i ci wielcy myśliciele, którzy się nad pospolitość wzniesli i tłumem wzgardzili. Nieprawdaż? To myśl bardzo piękna i wzniosła.

Pani Irena odpowiedziała jej na to wybuchem śmiechu.

— Ty mała filozofko, jesteś niepoprawna. A czy myślisz, że i ty ludzi nie oszuku-

jesz? Ot, na przykład: chciałabyś wmówić w ludzi, że ci się włosy kręczą, gdy tymczasem to im się ani śni, są gładkie zupełnie. Więc ty je sobie zapamiętała dwa razy na dzień żelazkiem palisz. Nie masz loków z natury, więc robisz je sztucznie. Czy to nie jest oszustwo?

Marya była zakłopotana. Panią Irenę niezmiernie to bawiło.

— Zapewne, to oszustwo. Ja wiem, że to niemądrze z mojej strony. Tyś pewno pomyślała, że jestem w pretensjach... Ale, widzisz, mnie z fryzowanymi włosami bardzo jest do twarzy, a wiesz... ja tak lubię ładnie wyglądać. To chyba nic złego? A może ty mnie to masz za złe?

I Marya z niepokojem patrzyła na panią Irenę, która się tak śmiała, że na razie słowa przemówić nie mogła.

— Moja droga! ach! jak ja cię lubię za tę szczerłość!—rzekła po chwili.—Ale pociesz się tem, że ja również dbam o twój korzystny wygląd, jak i o mój własny. Zobaczysz, jak to będzie zabawnie i przyjemnie, gdy w zimie do miasta pojedziemy. Będziemy razem w świecie bywały, toalety wymyślały, przymierzały, wybierały; już moja w tem głowa, żebyś ty zawsze jak najładniej wyglądała.

Planów tysiące dla Maryi robiła, zajmowała się najdrobniejszymi szczegółami jej potrzeb i codziennego życia. Bawiło ją to i wkońcu przyzwyczaiła się mieć zawsze na myśli dobro i przyjemność Maryi. To przywiązanie nie wiedzieć skąd jej przyszło. Była kobietą, a dzieci nie miała. Taką miłość, jaką się dzieci kocha, Marya w niej obudziła. Oddała jej teraz to, co jej się zdawało, że najdroższem jest dla niej—i czuła się zadowoloną.

*

*

*

Było już dosyć późno, gdy pani Irena ze swojej przejażdżki do Żeromina powróciła. W niespełna pół godziny obiad podano. Przeszedł milcząco, bez ożywienia; nikt sobie trudu nie zadawał, by rozmowę podtrzymać. Pani Irena była zamyślona, na Maryę prawie bez ustanku patrzyła; od czasu do czasu uśmiech smutku, ale nie goryczy, na ustach jej gościł. Marya zdawała się nie czuć tego uporczywego wzroku na sobie. Mało jadła, nie słyszała pojedynczych pytań; jej ciągle brzmiał w uszach pożegnalny śpiew Michała. Długo, może bardzo długo, trzeba będzie żyć tem wspomnieniem. Może go spotkać jakieś nieszczęście w tej niebezpiecznej pogoni za złotem. Może

do Jedlińska nigdy nie powróci i nie zaśpiewa!

Gdy się żegnali, rzekł półgłosem: „A dla innych nie zapominaj o mnie, bo inaczej nie miałbym odwagi do Jedlińska powracać.“

Nie mogła nic odpowiedzieć, bo ją coś za serce ścisnęło, tylko patrzyła na niego, a on zdawał się odgadywać jej odpowiedź.

Po obiedzie Jazłowiecki znikł w swoim pokoju, a zapominając, jak zwykle, że inni jeszcze istnieją oprócz niego, zajął się czyszczeniem staroświeckiej, w bardzo zaniedbanym stanie znajdującej się bonbonierki złotej, ozdobionej emaliami *à la Watteau*, którą przypadkiem niedawno u jakiegoś antykwaryusza wynalazł, a poznavszy się na jej wartości, kupił jak najspieszniej. Pod jego wprawną ręką emalia połysku nabierała; delikatnie malowane girlandy, które zdawały się być dziełem czarodziejek, występowały coraz wyraźniej. Jazłowiecki od tego cacka oczów oderwać nie umiał. Patrzył z lubością, z daleka i z bliska, przez szkło powiększające i pod światło, uśmiechał się z tryumfem i zadowoleniem. Takich artystycznych drobiazgów wkoło niego setki były. On się do nich wszystkich tak samo uśmiechał, patrzył z nigdy niezmeńczoną rozkoszą. Miał tę wielką korzyść, że one mu zawsze

swą niezmienną, zawsze jednakowo piękną powierzchowność ukazywały i nigdy nie zawiodły. Rozumieli się i wystarczali sobie wzajemnie.

W salonie roccoco siedziały pani Irena i Marya i zajęte były robótkami.

— Ani się spodziewasz, moja droga—rzekła pani Irena,—jaką mam świetną dla ciebie wiadomość. Posłuchaj mnie tylko uważnie: Książę Jarosław oświadczył się o twoją rękę.

— Książę?!!! Skądże mu ta myśl przyszła?

— Podobasz mu się, kocha cię, ożenić się chce z tobą.

— Ale ja go nie kocham, obojętnym mi jest zupełnie, więc wyjść za niego nie mogę.

Pani Irena lekceważąco się uśmiechnęła.

— To zwykła śpiewka takiej młodziutkiej, jak ty, panienki. Każda z was marzy o jakimś niedościgłym ideale; ale jeżeli są rozsądne i słuchają rad osób doświadczeńszych, wychodzą za tych przed ślubem tak obojętnych i niekochanych mężów; potem są najszczęśliwszemi żonami, kochającemi i kochanemi, i śmieją się tylko ze swych mrzonek dziecinnych. Takich panięskich sentymentalnych uprzedzeń w rachubę brać nie można.

— Co innego mrzonki, co innego rzeczywistość. Ja o niczem nie marzę, nie myślę

wcale o przyszłości; ja tylko kocham bez pamięci, z całej duszy, innego, ale nie księcia... a tym jest Michał Jedliński. Powiedz sama, czy to byłoby możliwie uczciwe, żebym ja, kochając innego, za księcia wychodziła i przed Bogiem jemu miłość i wierność na całe życie przysięgała? Nawet w chwili przysięgi myślałabym tylko o jednym Michale. To byłoby krzywoprzysięstwem, występkiem, oszukiwaniem Boga i ludzi. Jabym na to nigdy zdobyć się nie umiała.

— Zbyt jesteś egzaltowaną — odrzekła pani Irena, — podajesz skrupuły zbyt wyrafinowane. Nie istniałyby te względy dla innych panien. Przysięga jest tylko konieczną formą. Co do Michała, zważywszy na jego rozmaite dziwactwa i stan materyalny, jest to mąż, którego jabym tobie najmniej życzyła. Moja Maryo droga, usłuchaj mnie, wyjdź za księcia. Jeszcze teraz nie rozumiesz twego szczęścia! Spuść się na mnie, w tym względzie jestem doświadczeńsza i, chwała Bogu, przeszłam ten wiek, kiedy się romantycznymi marzeniami tak hojnie szafuje. Wierzaj mi, że tylko twoje szczęście mam na myśli.

— O! ja wiem, żeś ty dobra, bardzo dobra! — odrzekła Marya, ściskając panią Irenę. — Kochasz mnie, to też ja dla ciebie na każde poświęcenie byłabym gotową. Ale co

do mojego szczęścia, mogę je mieć tylko przy Michale Jedlińskim.

— A czy wiesz na pewno, że on po powrocie ze swoich awanturniczych wędrówek ożeni się z tobą? Czy ci o tem mówił? Czy prosił, byś na niego czekała.

— Nie. Nic mi wyraźnie nie powiedział, tylko o pamięć prosił i o to, żebym się dla niego przez ten czas nie zmieniała. Ale mi się zdaje, tak... zdaje mi się... — jękała Marya — że on miał na myśli moje przywiązanie.

— A więc — przerwała pani Irena — nie ludź się, moja droga. Mężczyźni lubią mówić piękne frazesy, a tak giętkie, by ich to później do niczego nie zobowiązywało. Za mało znasz świat, więc zbyt wielką wagę do takich drobostek przywiązujesz. Wierzaj mi, nie warto na niego liczyć. To jasne przecież, że tobie, bywając parę lat w świecie, trafiać się mogą rozmaite partye i za mąż wyjść możesz. On pomyśleć o tem powinien. Gdyby miał rzeczywisty zamiar ożenienia się z tobą, toby się przeciwko innym zabezpieczył, przed odjazdem formalnie oświadczył i prosił, żebyś czekała na niego. Każdy człowiek logiczny takby postąpił. Jeżeli o swych zamiarach wyraźnie nic nie mówił, to wierzaj mi, że nie warto liczyć na niego.

W miarę, gdy pani Irena mówiła, Marya bladła, oczy jej łzami zachodziły, a głowa coraz to niżej na piersi opadała. Pani Irena do jej smutku niewiele przywiązywała wagi. To chwilowa egzaltacja, młodemu wiekowi właściwa,—a tymczasem owa mała uporem swoim własne szczęście zburzy i ją w trudnem postawi położeniu. Wybieg księcia na jaw wyjdzie, a Karol Jedliński o tem, co widział, wszystkim czempredzej rozpowiadać będzie. Ileż nieprzyjemności, nie licząc przykrości, jakie ją od męża spotkać mogą! Nie! Karol tryumfować nie będzie!

— Posłuchaj mnie tylko uważnie, Maryo!—rzekła z decyzją w głosie,—ty za księcia musisz wyjść koniecznie, koniecznie...—Marya ze zdziwieniem na nią patrzyła.—Tak, musisz koniecznie wyjść za niego, przez przywiązanie dla mnie, jeżeli nie dla niego samego. Choć wierzaj mi, że będąc jakiś czas jego narzeczoną, dziwić się będziesz, że kogo innego, a nie księcia, kochać mogłaś. Posłuchaj, opowiem ci, jak się rzeczy dziwnie ułożyły: Tego wieczora, kiedy Michał odjechał, ja z księciem sama tu, w tym saloniku, zostałam. On...—pani Irena odwróciła twarz od Maryi i patrzyła uporczywie w przeciwny punkt pokoju—książę skorzystał z tej sposobności i powiedział mi

wtedy swoje zamiary względem ciebie. Ja, znając cię i domyślając się twojej dla Michała słabostki, powiedziałam mu otwarcie, by nie liczył na twoją przychylną odpowiedź. Nie masz pojęcia, w jakiej był rozpacz; jeszcze go nigdy takim wzburzonym i zmartwionym nie widziałam. Bierz z tego miarę, jak on cię kocha. Zaczął mnie zaklinać, błagać, bym użyła całego mojego wpływu i przywiązania, jakie mam dla ciebie, żeby cię ku niemu przekonać i nakłonić. Ja mu ciągle wielkiej nie robiłam nadziei. Wtedy on... wystaw sobie tylko... ten człowiek, tak niezdolny na pozór do żadnej przesady i uniesień, był jakby w gorączce: klęka przede mną i mówi: „Błagam panią na klęczkach, niech pani popiera moją sprawę. Nie rękę za siebie... nie wiem, co zrobię, jeżeli ona mnie odepchnie!“ Patrzyłam jak na waryata. Ten człowiek niepierwszej młodości, zblazowany życiem i przyjemnościami, kocha się w tobie jak student. Zobaczywszy go klęczącego, nie wiedziałam, co mam robić ze sobą. Gdy wtem... ktoś się we drzwiach ukazuje... mój mąż i Karol Jedliński... Czy wiesz, że, według zwyczajów światowych, mąż, znajdujący u stóp swej żony obcego mężczyznę, na pojedynek wyzwąć go musi. W takim razie żona na zawsze jest straconą w oczach

świata. Pozycja była bardzo drażliwą, wyjaśnienie koniecznem. Tymczasem ksiązę wobec takiej sytuacji tak stracił kontenans, że, zamiast wyjaśnić całą prawdę i o co mu chodziło, powiada im, że ja mu oznajmiłam o twojej przychylniej na jego propozycję odpowiedzi i że on za taką szczęśliwą nowinę czuł się w obowiązku dziękować na klęczkach. Nie mogę pojąć, dlaczego tłómaczył się w ten sposób. Nie chciał pewno przed drugimi przyznać się, iż może istnieć podobieństwo odmówienia jego propozycji. Mężczyźni nie lubią takich przypuszczeń. To rani ich miłość własną, która na tym punkcie bardzo jest u nich drażliwą. Mój mąż i Karol już was jako narzeczonych uważają. Jeżeli będziesz przy swoim obstawała i odmówisz księciu, w takim razie kłamstwo jego na jaw wyjdzie, mój mąż innemu jego tłómaczeniu wierzyć już nie będzie. Znalezienie się księcia za osobistą weźmie obelgę i na pojedynek wyzwąć go będzie musiał. Czy wiesz, że jak mężczyzna przed cudzą żoną klęka, to znaczy, że ją mężowi odebrać chce, albo że już odebrał? Oni takie sprawy tylko krwią rozstrzygają! biją się, przez godzinę, przez dzień najwyżej, świat sobą zabawiają i wychodzą na bohaterów! Cha! cha! A oni robią skandal, nic więcej! Ale

kobieta, o którą chodzi, same gorycze i przykrości ponosić musi. Choćby najniewinniejszą była... dla świata, by ją potępić, cień podejrzenia wystarczy! Mąż przez nią pojedynek miał, a więc pewnie zrobiła zamach na jego imię, na jego honor; w obronie swego i jej honoru, który ona widocznie zaszargała, bić się musiał. Od takiej ludzkiej stronią, uciekają, jakby zaraz z sobą przynosiła, pomimo że ci wszyscy surowi sędziowie stokroć od niej zwykle gorsi, tylko ostrożniejsi w odgrywaniu światowej komedyi. Świat gotów zawsze wiele wybaczyć, byle się wszystko z należytymi pozorami, bez skandalu obywało. Nic, tylko ta wieczna komedia! wszędzie i zawsze! Cała mądrość światowa... to umiejętnie zachowanie pozorów. Zastanów się tylko nad następstwami twojej odmowy. Mego męża i księcia narazisz na niebezpieczeństwo utraty życia bez żadnego powodu i przyczyny. Ja będę straconą w ludzkiej opinii, gdyż Karol Jedliński, o ile go znam, każdemu, ktoby go nawet słuchać nie chciał, opowiadać będzie urojoną przyczynę tego pojedynku, który jest nieunikniony. Pamiętaj, że mąż mój, w razie twojej odmowy, innym tłómaczeniom księcia wierzyć nie będzie i w obronie swego honoru stanąć musi. Według towarzyskich pojęć... musi, koniecznie musi, choćby i nie chciał, bo inaczej

sobieby ubliżał! Twój ślub, albo pojedynek... wybieraj. Maryo moja droga, czyż ja mam się zawieść na tobie? Czyż dla mnie, dla ocalenia mojej dobrej sławy, mego honoru i opinii, do żadnego ustępstwa zdolną nie jesteś? I to ustępstwa... z czego? z dziecinnych marzeń, dla zabezpieczenia sobie przytem takiego szczęścia, jakiego tyś się zadowolisz ci będą.

Marya, nie przerywając, całej mowy w milczeniu słuchała. Gdy pani Irena mówić przestała, objęła ją za szyję, a oparłszy głowę na jej ramieniu, rzekła jakimś dziwnym, zmienionym głosem:

— Powiedziałam ci dzisiaj, że do każdego poświęcenia zdolną byłabym dla ciebie. Cóż znaczą słowa, czynami nie stwierdzone? Dobrze! Jak chcesz, wyjdę za księcia Jarosława.

Ostatnie słowa ledwie dosłyszaniem były. Gwałtowne łkanie mówić jej nie dozwalało. Pani Irena ją ścisnęła, a wycierając twarz i oczy, serdecznymi je okrywała pocałunkami.

— Moje drogie dziecko, nie płacz, uspokój się... ty swego własnego szczęścia nie rozumiesz.

A trzymając ją w swoich objęciach, całującami słowa przeplatała.

— Płakałabym razem z tobą, gdybym nie wiedziała, że mi kiedyś za ten przypadkowy

przymus podziękujesz. Ty go kochać na pewno będziesz; nie kochać go... nie można.

Pani Irena przymrużyła oczy i w umyśle widziała Maryę kochającą i kochaną, uśmiechniętą do tego szczęścia, na którym dzisiaj jeszcze poznać się nie umiała.

— Dla jej szczęścia! Dla jej szczęścia! — powtarzała sobie w duszy.

Tymczasem Marya, oparta na jej ramieniu i przyciskając się do niej konwulsyjnie, płakała gorzko. Płakała bez słowa skargi i wyrzutu, bez wymówki i narzekania. Nic, tylko ciche łkanie, a takie smutne i rozpaczliwe, iż zdawać się mogło, że serce chyba pęka, a łzy pewno krwawe. Michał! Gdzie on teraz? Czemu nie przy niej? Onby jej pewno tamtemu nie oddał. A cudna melodia pożegnalna w uszach brzmieć nie przestaje! Czemu tak cudna i przywiązująca! Tylko więcej żalu i tęsknoty za nią będzie.

— To dziecinnie płacz — myślała pani Irena:— jak deszcz wiosenny przejdzie i śladów żadnych po sobie nie zostawi.

Maryę w silnym trzymała uścisku, włosy jej odgarniała; drżącą, rozplakaną maleńką twarzyczkę całując, czekała cierpliwie, aż się to roztkliwione dziecko uspokoi, łzy otrze,

dobranoc jej powie, i zapomniawszy o urojonym smutku, spać się położy.

*

*

*

Karol Jedliński postarał się o dłuższy urlop i pozostał przy chorym bracie.

— Nie odjadę, dopóki nie wyzdrowiejesz — rzekł do Michała, gdy tenże prosił go, by się nim nie krępował i do obowiązków swoich powrócił. — Ale pamiętaj, że jeżeli postanowilem być twoim dozorcą i zastępcą, to we wszystkim słuchać mnie musisz. A więc, przede wszystkim, jeżeli myślisz, że rozmawiać z tobą będę, to się grubo mylisz. Doktor to zabronił najsurowiej.

Michał nic nie odpowiedział, uśmiechnął się, a nie mając do rozmowy najmniejszej ochoty, przymrużył oczy i bez ruchu czas jakiś leżał. Oddech miał ciężki, od czasu do czasu muskuły na twarzy mu drgały, gdy silniejszy ból gardłem lub piersiami szarpnął. Karol także przy jego łóżku nieruchomie siedział. „Może usnie“ — myślał, patrząc na Michała, a poruszyć się nie śmiał, by nawet oddechem nie spłoszyć z powiek brata snu, pożądanego od tak dawna. Usta mu się, jak dawniej, do śmiechu nie składały. Co chwila spoglądał na

stojący obok na stoliku zegarek, by Michałowi punktualnie o naznaczonej godzinie lekarstwo podać. Ruchliwy, pełen życia, wesół chłopiec godzinami całymi tak przy bracie przesiedział, a słowo „nudy“ przez usta jego ani razu nie przeszło. Codzień o szarej godzinie wychodził na chwilkę, by przejść się troszeczkę. Wygwizdawszy wszystkie arye operetkowe, jakie tylko pamiętał, i pościnawszy szpicrutą lebki wszystkim kwiatom, w drodze napotkanym, powracał znów na swoje miejsce obok łóżka Michała, śledząc nieruchomie myśl jego każdą i żądanie. W antraktach, wyczerpując cały swój repertuar malowniczych, choć niezbyt salonowych przymiotników, o ile to bez hałasu robić było można, zaciętą wojnę prowadził z muchami, które biednemu Michałowi srodze we znaki się dawały.

Po pewnym czasie doszła do Karola wiadomość o oficjalnych zaręczynach Maryi z księciem Jarosławem, jako też, że te panie niezwłocznie do stolicy wyjechały, by zająć się wyprawnymi sprawunkami, gdyż ślub w jak najkrótszym odbyć się miał czasie. Karol wiadomości tej Michałowi nie zakomunikował, gdyż kompletny spokój fizyczny i moralny był mu przez lekarzy zalecony.

Dzień za dniem mijał, a życie Michała Jedlińskiego było ciągle w niebezpieczeństwie. Doktor dojeżdżał kilka razy na dzień, zalecając jak najstaranniejsze pielęgnowanie.

Spokój głuchy otaczał chorego. Z wyjątkiem jednego służącego, który lokaja i kucharza w swojej osobie jednoczył, służba cała, z powodu wyjazdu Jedlińskiego, uwolnioną została jeszcze przed jego chorobą. Tylko dwa ich sypialne pokoje były zamieszkałymi. Reszta domu, pusta, opuszczeniem tchnęła—okna ogołoczone z firanek, podłogi z dywanów, ze skrzyniami, w których hmeble spakowane były, świadczyły, że dom ten czas jakiś będzie niezamieszkałym. Karol do tych pokoi nie wchodził teraz nigdy; ponury spokój nie nęcił go wcale, on lubił biedz tylko za jaskrawemi barwami, blaskiem lub uśmiechem,—a tu wszystko takie szare, pustka i cisza, chyba tylko myślą lub wspomnieniem wypełnione. Co prawda, pokój Michała także smutny i szary, ale coś go tam pcha i zatrzymuje. Mimowolny ruch serca. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego przy nim został. Został, a odtąd główna jego myśl i zajęcie: dogodzić Michałowi, każdą chwilę ciężkiej choroby urozmaicić i osłodzić.

Jednego dnia Michał zdawał się być więcej osłabionym. Karol od samego rana nie

potrzebował go do milczenia nawoływać. Leżał, nic nie mówiąc, bez ruchu, krótkim „nie“ posiłku odmówił. Twarz była wychudzona, rysy, chorobą zaostrome, rysowały się liniami wyraźnemi, rzucając w swych załamaniach cienie mocne, sprawiające ponure wrażenie. Karol co jakiś czas delikatnie i ostrożnie kompresy na piersiach zmieniał. Pod wieczór gorączka się wzmogła, z nią razem trochę sztucznych sił przybyło.

— Bóg wie, ile jeszcze tygodni nie będę mógł śpiewać — rzekł nagle, zwracając się do Karola z pewną niecierpliwością w głosie, — a te dni jak wieki długie!

— Im mniej mówić będziesz, tem prędzej gardło twoje wyzdrowieje — odrzekł Karol;— tymczasem, żeby cię zabawić, napisałem, aby mi przysłano cały pakiet jakich zabawnych książek. Będę ci głośno czytywał. W mojem mieszkaniu setki różnych francuskich dekolowanych romansów po kątach się wala. Zobaczysz, niektóre takie doskonałe, zabawne... będziemy się kładli od śmiechu. Chwała Bogu, że między nami nie będzie żadnej cnotliwej niewiasty, bo w takim towarzystwie taka lektura byłaby niemożliwą. Ale że się ubawisz, to ubawisz.

— Ach! ja nie chcę trywialnych powieści — przerwał żywo Michał; — denerwują mnie karykatury ludzi i natury. I to też jest dysonans — dodał jakby do siebie.

Tych kilka słów dosyć już było na chore płuca Michała. Nie zdradzał usposobienia do rozmowy. Za nadejściem nocy gorączka jeszcze wyżej się podniosła. Michał był niespokojny, nachylonego nad nim Karola nie poznawać się zdawał. Coś półgłosem do siebie szeptał, czasem jakieś oderwane słowo lub zdanie zrozumieć było można.

— Dysonanse... nic, tylko dysonanse... szereg dysonansów to życie, uczuć i piękna trywialna parodia... niema piękna, niema ideału... Skąd wydobyć harmonijne tony? Chyba tylko z nieba! Ach! jest gotowy instrument: serce i dusza człowieka... tylko brak mistrza, któryby w nim fałszywe struny ominąć potrafił! Ach! śpiewać! śpiewać bez końca! Śpiewem ludzi porywać, zachwycać i zaczarować... śpiewem na piękno oczy im otworzyć!...

Stan gorączkowy trwał kilka godzin. Karol był mocno zaniepokojony. W końcu osłabienie wzięło górę i nad ranem chory zasnął. Nastąpił dzień z wielkim osłabieniem, jednak stan Michała nie pogorszył się już więcej, ale przeciwnie, przebieg choroby od tego czasu ku

lepszemu się zwrócił. Niebezpieczeństwo minęło; siły, choć nadzwyczaj wolno i nieznacznie, wracać zaczynały. Przeszło parę tygodni, Michał wstawać zaczynał, a Karol już często wspominał o powrocie do swoich obowiązków.

— Ja już prawie zdrow jestem, razem wyjechać będziemy mogli — rzekł jednego dnia Michał do Karola. — Ale powiedz mi, czy nie wiesz, co słychać w Żerominie? O nich zawsze coś nowego dowiedzieć się można.

— Te panie dla kupienia wyprawy do Berlina wyjeżdżały. Niedawno powróciły. Irena, jak się dowiedziała o twojej chorobie, przysłała codziennie wiadomości.

— Uprzejmie z jej strony. A czy nie wiesz, kiedy ślub Maryi?

— Nadzwyczaj prędko. Wystaw sobie, 14-go tego miesiąca. To wypada już po jutrze. Byłem bardzo zdziwiony, gdym zawiadomienie przeczytał.

Karol z niepokojem patrzył na Michała, śledząc, jakie ta wiadomość wrażenie wywrze na nim. Ale on się tylko pogardliwie uśmiechnął i spokojnie zauważył:

— Tak prędko? hm, hm!... śpieszą się.

— Książę podobno bardzo naglił. No, ponieważ jesteś teraz w rozumniejszym usposo-

bieniu, to ci powiem, w jaki dziwny i zabawny sposób to wszystko się ułożyło.

— I owszem, miałem cię właśnie zapytać o to. Nie rozumiem, dlaczego przedtem trzymano to w tajemnicy.

Karol opowiedział wszystkie szczegóły zajścia w saloniku z panią Ireną i księciem Jarosławem.

— Jestem prawie pewny — dodał, kończąc opowiadanie, — że to wszystko było tylko zreńczną komedią, z której trzecia osoba, Marya, najwięcej skorzystała. Oberwał jej się mąż z tytułem i milionami. Ona się z nich wszystkich najwięcej teraz chyba śmieje.

Michał nic nie mówił, przez ciąg opowiadania na twarzy się mienił, żywo poruszony chodził po pokoju.

— Rozumiem już teraz, rozumiem — wybuchnął nagle. — To tylko ohydna komedia i nic więcej. Irena w nią wmówiła, że dla uratowania jej honoru i opinii poświęcić się musi. A ona się poświęca, bo ma szlachetne serce, światowej hipokryzji i egoizmu nie rozumie.

Karol ruszył ramionami.

— W każdym razie opłaci się jej to poświęcenie — wtrącił pogardliwie.

Michał nie słuchał słów brata.

— Chwała Bogu, że ślubu jeszcze nie było — mówił dalej: — nic niema straconego. Nie raz od ołtarza małżeństwa się rozchodzą. Jej tak samo, jak innym, wolno się rozmyślić i zerwać... Marszałkowa do Żeromina przyjeżdżać mi nie pozwoliła, ale list do Maryi napisać mogę. Powiem jej, że jeżeli choć trochę ma dla mnie przywiązania, niechaj zerwie z księciem.

Karol nic nie mówił; nie chciał, by mocno jeszcze osłabiony Michał dysputą się denerwował. Patrzył z politowaniem, jak tenże żywo i gorączkowo zasiadł do biurka i pisać zaczął.

Pióro szybko po papierze biegało, Michał ścisłym charakterem dwa arkusze zappełnił. Duszę swą całą na papier przelał; przed nikim z taką szczerością z myśli swoich nie spowiadał się jeszcze. Zmierzchać zaczynało, gdy pisać przestał.

— Dziś już za późno, żeby list ten posłać, ale jutro rano zaraz go umyślnym posłańcem do Maryi wyprawię.

Michał był nadzwyczaj wesół i ożywiony. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki, twarz zdrowymi rumieńcami zabarwiać się zaczynała.

— Tak silnym, jak przed chorobą, czuję się dzisiaj — mówił do Karola następnego poranka; — cienia żadnej dolegliwości w gardle i płucach już nie mam.

Był wesół i szczęśliwy, w oczach i na ustach jego uśmiechy radości migwały. Nie zawiódł się na Maryi! Była napowrót jego Maryą! Wyższa nad inne, z kryształową duszą, wspanialszym, niż przedtem, blaskiem otoczona, blaskiem poświęcenia i zapomnienia o sobie. Taka promienna przed oczyma jego stała i duszę mu rozjaśniła; światłymi, żywymi kolorami barwić się zdawała otoczenie jego całe!

Prędko wstał, a w ruchach nie było już śladów choroby.

— Z tym listem zaraz do Żeromina pojedziesz — rzekł do posłańca — i poczekasz na odpowiedź; a śpiesz się, nie trać czasu po drodze.

Odprawiwszy posłańca, wyszedł na terasę. Za nim pośpieszył Karol z papierosem w ustach.

— Prześliczny dzień — rzekł Michał, zrywając różę, która przez baryerę zaglądała. — Dzisiaj już mi nikt śpiewać zabronić nie może. Wczoraj upłynął termin, przez doktora naznaczony.

Odetchnął głęboko, zaczerpnął sporo świeżego powietrza, usta otworzył, by zanucić jaką

wesołą piosenkę. Z zachwytem patrzył na jezioro, na czarną ścianę drzew parku... Tak samo jak dawniej, oddadzą mu i teraz czyste, bez dysonansu echo jego prześlicznej melodi. Cudne, ukochane ustronie otwartą dłonią sypie mu zawsze natchnienie, echa i zapęły twórcze. Głos, długo na uwięzi trzymany, z piersi się wyrwał nareszcie, ale inny, nie taki, jakiego się Michał spodziewał, a sosny i dęby jakimś ironicznym, fałszywym zaśmiały się echem...

Karol ze zdziwieniem się odwrócił. Michał osłupiałymi oczyma patrzył przed siebie, ustami chwycił powietrza, gdyż mu go zabrakło, a wysilając płuca, znów śpiewać próbował. Ale głosu nie było. Znikł, zginął, choroba go zabiła, rosa nocy spędzonej w ogrodzie rdzą na nim osiadła, skalala jego czystość i dźwięk.

— Co to jest? Czyż ja głosu nie mam? — rzekł, na ławce siadając, gdyż w oczach mu się zaćmiło i trząsał się na całym ciele. — Nie, to nie może być, żebym ja go stracił!

Ale próba śpiewania znowu się nie powiodła. Twarz z koloru białego w siny przechodziła. Karol się zerwał, pobiegł po zimną wodę i kilka jej kropel prysnął na twarz Michała.

— Zachrypnięty jesteś, nic więcej — mówił, starając się go uspokoić; — to jeszcze nie racya, żeby zaraz rozpaczać i myśleć, żeś już zupełnie głos do śpiewu stracił.

— Nie, nie jestem zachrypnięty... przecież zupełnie czysto mówię. Ale śpiewać nie mogę... czuję, że w piersiach tonów już niema, jakiś ciężar je przyciska. Gdy śpiewać próbuję, tchu i dźwięków niema, i głosu też niema... niema, niema!... — dodał z rozpaczliwym uśmiechem, który szarpnął w sercu Karola najlepszą częścią jego. — Niema głosu, niema — mówił coraz ciszej i słabiej, na ławkę się slaniając, — niema, i już go nigdy nie będzie! Złamał się, zostały tylko same dźwięki fałszywe, same dysonanse... Ach! znowu te dysonanse... dysonanse... dyson... — na resztę słowa tchu w piersiach mu już nie stało.

Michał zemdlął. Karol wycieńczonego i zmizerowanego chorobą brata wziął jak dziecko na ręce, i zaniósłszy do pokoju, na kanapie położył. Zajął się jego cuceniem i natychmiast po doktora posłał. Ale cucenie tak łatwo nie szło. Godzina blisko minęła, a Michał nie dawał żadnego znaku życia. Dopiero koło południa poruszył się, oczy otworzył i zdawał przypominać sobie ostatnie wrażenia.

— Ach! głosu nie mam! nie mam! — powtarzał.

Łkanie spazmatyczne mowę mu tamowało, a dreszcze trzęsły całem jego ciałem. Powrót do życia więcej był alarmujący, aniżeli omdlenie. Nastąpił atak nerwowy nadzwyczaj silny, na razie nawet pomoc lekarska niezdolną była go uśmierzyć. Minęło kilka godzin nadzwyczaj przykrych. Michał nareszcie do normalnego zdawał się mniej więcej powracać stanu.

— Teraz mu spoczynku trzeba — rzekł doktor do Karola, przygotowując sporą dozę bromu i jakiegoś silnego na sen lekarstwa.

Michał, wypiwszy, zasnął w niespełna pół godziny. Karol na swoim miejscu koło jego łóżka się zainstalował. Na twarzy jego znać było niepokój i kłopotliwe zajęcie się jakąś uporczywą myślą. Rzeczywiście, Karol bardzo był zafrasowany utratą głosu Michała. Co on biedny teraz z sobą zrobi? Z czego wyżyje, zanim będzie mógł korzystać z dochodów Jedlińska? Chyba będzie się musiał bogato ożenić. Ale z kim? Eh, to fraszka!... on, Karol, od czego? Już zdarzyło mu się nieraz dopomódz w tym względzie niejednemu zadłużonemu kole-dze, tem bardziej więc dla brata talentów swych nie pożałuje. Milionerkę mu wyszuka; mniejsza

o to co, za jedna—Żydówka, Chinka, czy Indyanka, straszdyło z pod ciemnej gwiazdy,—ale miliony mieć musi. Jednak wspomnienie Maryi Krzyckiej brózdziło trochę między planami Karola. Może Michał o kim innym nie będzie chciał słyszeć? Eh, dzieciństwo! Ze stratą głosu może zapomni o tych mrzonkach naiwnych. To przypuszczenie było dość pocieszające, to też Karol jak najpomyślniejsze wysnuwał na przyszłość kombinacje i plany. Siedział tak czas jakiś, gdy nagle zobaczył przez okno posłańca, powracającego z Żeromina. Zaciekawiony, wyszedł do przedpokoju i zaraz przychodzącego o list zapytał.

— Niema odpowiedzi — odrzekł tenże.

— Jakto? Niema? Przecież miałeś powiedziane, żebyś na odpowiedź czekał! Komu list oddałeś?

— Pani hrabinie Jazłowieckiej. Spotkałem ją przed pałacem, jak na spacer wyjeżdżała. Pani hrabina list do kieszeni schowała, a potem mnie mówi: „Odejdź, odpowiedzi nie będzie.“ Potem panna Krzycka w oknie stanęła i coś z sobą rozmawiały, ale chyba nie o liście, bom nie widział, żeby go pani hrabina pannie Krzyckiej oddawała.

Karol wzruszył ramionami i do pokoju powrócił.

Noc nadeszła, a Michał spał ciągle. Karol, nie widząc nic niepokojącego w jego śnie, w tym samym pokoju na kanapie się położył.

Była godzina około drugiej w nocy, kiedy Michał się obudził. W pierwszej chwili ze stanu swego sprawy sobie zdać nie umiał—zdawało mu się, że ciężka choroba, z której parę dni temu się podniósł, trwa jeszcze, myśli i siły jego na uwięzi trzyma, powieki i płuca jakby ołowiem przyciska, sercem szarpie tak, że zdaje się, iż w piersiach miejsca mu za mało. Ale to osłabienie cięższe jeszcze, niż poprzednie; lekarstwa i sztuczny sen nie uspokoiły rozszalałych nerwów, dręczą go i wstrząsają wycieńczonym organizmem. Michał pomału oczy otwierał, dziwił się, że noc wkoło niego, że on taki słaby i zmęczony. Jak się to stało? Przecież pamięta, że był dzień jasny i pogodny, on stał na tarasie, szczęśliwy, zdrow i silny, patrzył na park i jezioro, które mu, jak zwykle, najcudniejsze melodye na usta przywodziły. Melodye pierś przepelniały, a on je, tak jak dawniej, wyśpiewać chciał.

Ach, prawda! Już teraz wszystko rozumie i pamięta! Głosu nie znalazł, bo mu go rosa nocna i choroba zabrały. Potem jakieś mgły i huczenie długo go prześladowało, coś bardzo niesmacznego do picia podano i ktoś, pewno

doktor, mówił półgłosem: „To kryzys nerwo-
wy, trzeba tylko snu i spokoju.“

„Głosu nie mam! Straciłem go!“ — Ta myśl
beprzestannie plątała się po umyśle Michała,
jak straszne widmo targała czuciem i nerwami.
Gorsza jeszcze od widma, bo okropna rzeczy-
wistość... uciec od niej nie można. Ale Michał
zanadto był osłabiony i zdenerwowany, by
umysł mógł nagiąć do logicznego zastanowie-
nia się nad swoim położeniem. Tylko go
dręczyły czarne widma przyszłości, przyszłości
szarej, bez sposobu do życia, zanim dochody
z Jedlińska do niego powrócą, bez głosu i bez
Maryi... Ona sama pewno nie zechce już go
teraz, złamanego, wykolejonego, bez jutra
i chleba.

Przypomniał sobie naraz, że dnia poprze-
dniego pisał do niej i że mu pewno na list
ten odpowiedziała. Gdzie i jaka ta odpowiedź?

— Karolu! Karolu! obudź się, do licha! —
mówił niecierpliwie, kiedy Karol mocnem
chrapaniem na wołanie jego odpowiedział.

Nareszcie po długiej chwili rozbudzać się
zdawał.

— Co to jest? Co się stało?

— Gdzie list Maryi?

— List Maryi? Nie było od niej żadnego
listu.

— Jakto? nie było? Czyż posłaniec na
odpowiedź nie czekał?

— Czekał, ale mu powiedziano, że odpo-
wiedzi żadnej nie będzie. Wiesz, co ja ci ra-
dzę? Najlepiej przestań zupełnie myśleć o niej.

— Niema listu?...

Michał nic więcej nie powiedział, był
zamyślony.

— Ha, tem lepiej — rzekł nagle, a prze-
wracając się na posłaniu, rzekł po chwili z nie-
cierpliwością w głosie: — Sam nie wiem, co się
dzieje ze mną! Myśli zebrać nie mogę, kręci mi
się w głowie. Ten narkotyk na sen odurza
mnie. Będę kontent, jak usnę.

Domawiając tych słów, oczy zamknął
i zasnął w niedługą chwilę potem.

Gdy się rano obudził, czuł się troszeczkę
silniejszym; świeże i aromatyczne podmuchy
powietrza, które się przez uchylone drzwi za-
kradały, rozpędziły przykre odurzenie, narko-
tykiem wywołane. Jasność dnia jasną myśl
przynieść była powinna. Michał zajęty był
swemi myślami. Patrzył w okno, po za którem
daleko wzrokiem objąć było można jezioro,
śmiejące się tysięcznem odbiciem słońca, duży
kawał parku, a za jeziorem trawnik, jak ko-
bierzec równy, taki równy i miękki, że chyba
tylko fantazyjne istoty sunąć po nim zwykły,

a stopa ludzka swem dotknięciem nigdy go nie sprofanowała. Był to jeden z tych ostatnich, pięknych dni jesiennych, które z kokieterią w wiosenne powaby się stroją. Słońce, jakby na jakie święto, pięknej naturze barw nie szczędziło—wszystko się w światłości nurzało, wszystko się tym cudownym porankiem zdawało weselić, wszystko się śmiało i migotało. Michał patrzył na te blaski, ale zdawał się nie widzieć ich wcale. Jeszcze wczoraj ulubione to jego ustronie krasę swoją w oczach jego odbijało, szeptało tysiące najcudniejszych melodyi,—ale dzisiaj... żadna pieśń z duszy się już nie wyrывa, a jedna uporczywa myśl umysłem wciąż szarpie: Nie mam głosu... nie mam Maryi... a Jedlińsk? Także jakby go nie było. Ileż lat czekać musi, zanim termin zastawu upłynie i on go dla siebie odbierze! A przez te lata co on z sobą zrobi? Jakkolwiek fachowo pracować nie umie... On tylko śpiewać potrafi!

Przyszły mu na myśl słowa marszałkowej podczas ostatniej, pamiętnej z nim rozmowy: „Gdyby jeden z twoich przodków w twojem znalazł się położeniu, toby ziemię potem swym uprawiał, od ust strawy odejmował, a ojcowizny nie odprzedał.“

I on przecie silny i młody i dwoje młodych rąk do pracy posiada; ale ciężko i wytrwale pra-

cować nie potrafi, bo jego myśl zawsze tylko melodye snuje, goni je w każdym harmonijnym szmerze, w blasku i w uśmiechu, we wszystkim, co piękne i co myśl podnosi. Wszystkiemu, co piękne, jego dusza piękne pieśni śpiewać będzie chciała, a gdy on ich złamanym głosem za natchnieniem powtórzyć nie potrafi, to go rozpacz ogarnie i ręce do pracy opadną! A czy znajdzie wtedy tyle silnej woli, by wytrwale, mimo zniechęcenia, pracować ciągle a dalej? Chyba nie. Dotąd myśl jego nie wiedziała, co to wędzidło silnej woli,—goniła pieśni, nieuchwytnie widma artyzmu i harmonii. Widocznie marszałkowa miała rację, mówiąc: „Wy, ludzie terazniejsi, niezdolni jesteście do jakiegokolwiek wysiłku woli.“

Ale zapomniała, że rdza i żelazo rozkruszy, że nerwy ludzkie, w jednym, idealnym, czysto duchowym wyrobione kierunku, i najsilniejszy charakter ubezwładnić potrafią. Michała umysł w obecnej chwili zupełnie był ubezwładnionym. Wobec utraty głosu nawet zawód ze strony Maryi mniej bolesnym mu się wydawał. Duchowo on cały w sztuce był skoncentrowany,—a gdy ją naraz, niby skruszoną broń, w swoich ręku znalazł, to się zorientować nie może, tylko mu się zdaje,

iż duszę mu ktoś zabrał, a w myślach zamęt straszny — czegoś brakuje ogromnie, smutno, bardzo smutno, a do zagubionego skarbu nigdzie drogi nie widać!

Przygnębienie moralne i na fizyczne siły Michała niekorzystnie wpłynęło. Organizm, chorobą wycieńczony, siły odpornej niewiele już posiadał, a Karol obawiał się recydywy. Zastanawianie się nad swoim losem najgorszy wpływ na nim wywierało. Oczy jakoś nienaturalnie błyszczą zaczęły, gorączka powrócić mogła, by zabrać tę resztę sił, której choroba wyniszczyć nie zdążyła.

— Spróbuj usnąć, mój drogi; sen cię wzmocni — rzekł serdecznie Karol, na łóżku Michała siadając.

— Chciałbym, ale nie wiem, czy potrafię. Myślenie bardzo mnie denerwuje. Tych kropel na sen zażyję. Przynajmniej po nich zaraz się usypia.

Karol mu podał żądany narkotyk.

— Ale przedewszystkiem chciałbym ci-
szy i spokoju. Proszę cię, zostaw mnie dzisiaj zupełnie samego. Jeżeli czego będę potrzebo-
wał, to na Jana zadzwonię, on cię o mnie uwiadomi. Chciałbym bez przerwy spać do jutra rana.

Karol wyszedł, a Michał zasnął niedługo. Ale sen sztuczny sił nie pokrzepia. Gdy po paru godzinach obudził się, był jakby nieprzytomny, odurzony, w głowie mu szumiało, — na-
współ jeszcze drzemiąc, leżał nieruchomie.

Było samo południe. Przez otwarte okno do pokoju chroniły się przed skwarem muchy i komary, najrozmaitsze owady brzęczały Michałowi nad uszami. Ale on na to uwagi nie zwracał. Leżał spokojnie, o całym otoczeniu zapominać się zdawał. Dopiero jak jakiś fru-
wający żuczek boleśnie dał mu się we znaki, przypomniał sobie, że wartoby jednak okna pozamykać. Zadzwonił na służącego. Musiał to jednak kilka razy powtórzyć, zanim się przywoływany zjawił.

— Nie mogłem się ciebie dodzwonić —
rzekł.

— Przepraszam bardzo pana, alem nie słyszał od razu, gdyż się zagadałem z ludźmi, co z kościoła wracali.

— Jako? z kościoła? Przecież dziś nie niedziela, ani żadne święto.

— Tak, ale wszyscy chodzili, żeby zoba-
czyć ślub księcia Jarosława. Mówią, że naro-
du jak mrowia na całym cmentarzu było, a wszystko tak pięknie kwiatami przybrane, jakby się co najmniej król jaki żenił. Ksiądz

biskup ślub dawał, nawet podobno kanonicy do mszy mu służyli. Księżcia konie były wszystkie cztery białe...

Ale Michał przerwał służącemu potok jego opowiadania.

— Zamknij okno i odejdz—rzekł półgłosem i odwrócił się do ściany z zamiarem przedłużenia swojej drzemki.

Upłynęło dwa dni. W stanie zdrowia Michała widocznej zmiany znać nie było, ale mu sił dziwnie ubywało, jakoś na wszystko obojętniał, pytania Karola i doktora pozostawiał bez odpowiedzi, zamyślony patrzył w okno, po za którym prześliczny krajobraz się rozciągał. O czym myślał? Może o Maryi, która już była żoną księcia Jarosława; może myślał gonił w przestrzeni echa swego dawnego cudnego śpiewania,—bo on był bogaczem, hojną dłonią ukochanemu ustroniu sypał melodye i cuda arcyzmu, i myślał, że skarb się nigdy nie wyczerpie. Może czuł, że z każdą chwilą iskierka życia ulatuje, i czekał cierpliwie, aż ostatnia zgaśnie, a on usłyszy anielskie pienia, harmonią się ich zachwyci, zapomni o dysonansach tego świata, przed którymi dusza schronić się pragnęła aż do nieba.

Jednego dnia przed domem powóz zaturkotał, wysiedli z niego księstwo Jarosławowie. Karol ich uprzejmie w progu przywitał.

— Bardzo jesteśmy niespokojni o zdrowie Michała — rzekł książę. — Postanowiliśmy pierwszą wycieczkę, jaką po ślubie zrobimy, skierować do Jedlińska.

— Może go odwiedziny rozerwą trochę—dodała Marya;—przywiozłam mu trochę kwiatów... on kwiaty zawsze bardzo lubił.

Marya trzymała w ręku duży bukiet bawiła się nim, by pokryć zakłopotanie.

— Dziękuję bardzo za tyle uprzejmości—odrzekł Karol.—Proszę wybaczyć nieład, jaki jest w naszym domu. Może państwo na taras pozwolą? To nasz obecny salon. Michała zaraz zawiadomię, jaka miła niespodzianka go spotyka.

Marya była pomieszana. Nalegała na męża, żeby do Jedlińska pojechali, bo wieść ją doszła, że Michał na pewno już żyć nie będzie. Chciała go przed śmiercią jeszcze raz zobaczyć, a potem już nigdy, nigdy nawet nie pomyśleć o nim. Zapomni, będzie tylko do tego dążyła, by drugim szczęście dawać, promieniami dobra i piękna okolic tych, którzy ją otaczają. Za gardło ją płacz ściska, a uśmiechać się musi i mówić, że tylko z litości do kuzyna swego jechać chciała, bo on chory i samotny. Raz jeszcze go zobaczy i pożegna swą uroczą sielankę młodości; a gdy ją do

grobu złoży, nowe zacznie życie; marzyła, że odwagą i wolą naturę swą nagiąć do drugich i przerobić potrafi. Chciała mu czemś przyjemność sprawić; myślała, że jej przyjazd to jeszcze za mało, bo jej nie kocha i nie dba o nią, jeżeli nie przeszkodził jej małżeństwu. Ale żadnego upominku, godnego Michała, wymyślić nie mogła; złożyła tylko wiązkę kwiatów i przywiozła je, jako wyraz swojej pamięci i wspomnień.

Karol o niespodziewanej wizycie zaraz Michała zawiadomił. Spodziewał się, że to wyrze na nim silne wrażenie. Ale Michał pozostał obojętnym; nawet nie mógł się zorientować, kto są ci księżstwo Jarosławowie. On już był tak daleki od tego, co ziemskie,—już go ludzie prawie że nie obchodzili. Gorączka go jadła, udawała w oczach życie, przyjmowała pozory sił, których już nie było. Naraz żywszy płomień przez twarz i oczy mu przeszedł.

— Po co ona tu przyjechała! — zawołał gorączkowo— ha! z litości! Żeby litością urągać mojej niemocy! Ale ja litości nie potrzebuję! Ach! jakaż ona ograniczona! Ona swoją miarą i mnie sądzi... a jakże nad nią samą litować się trzeba! Ona jest bardzo nieszczęśliwa... ona nie pojmuje, co to harmonie dusz, co to harmonia dobra i piękna! Cha! cha! Ona się

nade mną lituje i myśli, że dobra i szlachetna, a ona tylko głupia!

— Uspokój się — tłumaczył mu Karol; — teraz nie czas na rozwodzenie się nad twojami do niej pretensjami. Zresztą to jest rzecz naturalna i przez wszystkich przyjęta, że się chorych odwiedza.

— Ja nie chcę, żeby mnie chorym widział. Ja zdrow jestem—rzekł Michał, z gwałtownością z łóżka się zerwał i ubierać zaczął.

Karol ze zdziwieniem patrzył na niego.

— Przed chwilą z osłabienia poruszyć się prawie nie mogłeś; proszę cię, uspokój się i do łóżka połóż. Ten wysiłek dobić cię może.

— Daj mi pokój! Osłabionem może być tylko ciało. Duch jest zawsze wielki i potężny, wyrazem jego jest wola. Do tej woli ciało nagiąć się powinno.

Gdy się ubrał, chwiejnym krokiem poszedł na taras. Zjawienie się Michała było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili nikt się na żadne słowo zdobyć nie umiał.

Michał się uśmiechnął.

— Dziwi was to pewno, że mnie zdrowym widzicie, boście się mnie umierającym zastać spodziewali. Dziękuję wam za odwiedziny i troskliwość o moje zdrowie...

Mówiąc to, zbliżył się i rękę na powitanie podawał.

Nikt nic nie mówił, bo widok był straszny. Nie wiedziano, co powiedzieć temu umierającemu, z ledwie dosłyszalnym głosem, ze wzrokiem trawiącą gorączką zapalonym, który się siłą woli za słabą nić życia czepiał.

— Tak. Zdrow jestem—ciągnął, na krześle siadając, a w tej chwili kurcz cierpienia na twarzy słowom jego zaprzeczył. Gdy napad bólu przeszedł trochę, mówił dalej: — Zdrow jestem, niedługo już będę mógł śpiewać — a w myśli dodał sobie, że tego śpiewu ludzie nie usłyszą, ale jego hymnowi tam, wysoko, duch matki wtórować będzie.

Żeby zatrzeć choć cokolwiek przykre wrażenie, jakie Michał wywierał, Karol rozpoczął z księciem Jarosławem jakąś obojętną rozmowę. Michał zwrócił się do Maryi:

— Dlaczego przyjechałaś?

Marya była pomieszana, na Michała nie patrzyła.

— Słyszałam, żeś bardzo ochory — odrzekła nieśmiało, patrząc na męża, jakby tam umocnienia szukała przeciw ciężkiej próbie. — Chorzy się czasem nudzą... lubią, jak ich kto odwiedzi... Lubisz kwiaty, przywiozłam ci ich trochę.

Michał ramionami wzruszył.

— Miliony masz chorych na świecie. Czy wszystkim wozić będziesz swą litość i kwiaty?

Marya nic nie odpowiedziała, ale mimowoli wzrok z męża na Michała przeniosła. Usta powiedzą to, co im rozum i rozsądek nakaże, ale oczy... są obrazem duszy, a dusza kłamać nie zwykła. I Michał nic nie mówił już—oczami się zrozumieli. Michał szum jakiś wkoło swej głowy usłyszał, myśli mu się mąciły, a w umyśle świadomość całego otoczenia zacierać się zaczęła. Ostatnim wysiłkiem woli wstał i rzekł:

— Przepraszam... niedobrze mi... Do widzenia, Maryo!...

I wyszedł. Karol pośpieszył za nim.

— Niepotrzebni tu jesteśmy—rzekł ksiądz do żony. Podał jej rękę i do powozu zaprowadził.

Michał, wycieńczony wysiłkiem, leżał prawie bez życia; jeszcze tylko myśl kołatała się w nim uporczywie. I Marya znowu była jego ukochaną!... A czemu nie jego?... Czemu ona żoną księcia? W tem coś niezbadanego być musi. Ale kiedyś się złączą. O! na pewno złączą, tam gdzie wysoko... gdzie dusze, oczyszczone z ziemskich, życiowych dysonansów, zapomną o nieszczęśliwej dolinie łez, żyć będą w zupełnym zrozumieniu się wzajemnym, w wiecznej harmonii dobra i piękna.

Na drugi dzień Michał Jedliński już nie żył. Wyraz twarzy miał spokojny—fałszywe dźwięki w uczuciach i tonach już go nie dolatywały.

Na ustach błąkał się śmiech, który razem z nim w chwili skonania zakamieniał.

Dnia tego niebo było zachmurzone, wicher się z sosnami i dębami parku szamotał; jezioro, zwykle spokojne, dziś, jakby niezadowolone, ponuro szemrało — powierzchnia jego tysiącem zmarszczek się krzywiła. Wiatr szumiał, a wśród drzew i zarośli jakieś dziwne, jęczące wytwarzał głosy. Fala tych szmerów i głosów przez otwarte okna nieboszczyka zalewała. A w gwarze tym drzew i wody była opowieść świetlanej tych miejsc przeszłości, było wspomnienie marzeń i pieśni tego, który nie żył. Ukochana przez niego ustron żegnała go hymnem szmeru liści i wody, zdawała się oddawać mu echa jego cudnych melodyi.

Tymczasem przed domem powóz się zatrzymał. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Byli to delegaci komisji kolonizacyjnej, wezwani przez Karola Jedlińskiego. Weszli do domu i pytali się o gospodarza. Fala ich głosu wśród ciszy rozplynęła się daleko, doszła do pokoju nieboszczyka i zmieszała harmonię cudownego hymnu, który mu sosny i dęby nuciły na pożegnanie.

K O N I E C .

